Nr. 44. Warszawa, dnia 4 Listopada (23 Października) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWA WOJNA AFRYKAŃSKA.

Francya w Syamie i Dahomeju, Anglia na południu, a Niemcy na wschodzie Afryki—prawie wszystkie państwa, które posiadają kolonie zamorskie, mają teraz zajęcie z zuchwałymi dzikusami i barbarzyńcami. To żółte, brązowe i czarne „bydło,“ zamiast kornie wsuwać swe karki w jarzma dobroczyńców europejskich, którzy mu tak obficie sypią w żłoby „kulturę,“ żądając za to tylko mięsa i skór, to bydło — mówimy — zapomina zupełnie o „wdzięczności“ i pamięta, że ma rogi. Syamczykom i dahomejczykom je przytarto, a raczej wyłamano, murzynom— również, teraz kolej przyszła na kabylów marokańskich. Jeżeli Behanzin, który zapewnie coś musi wiedzieć o sile państw europejskich, wypowiedział wojnę Francyi, to kabylowie marokańscy mogli się śmielej targnąć na Hiszpanię. Zasłyszeli oni niewątpliwie, że ta dumna pani nie ma ani wojska, ani pieniędzy, ani rządu, ani energii, więc walka z nią nie przedstawia zbyt wielkiego ryzyka. Zresztą w najgorszym razie co mogą stracić? Trochę ludzi w bitwach? Ależ oni do tego przyzwyczajeni, przytem polegli na placu boju wierzą, że wprost z niego powędrują do raju, gdzie ich czeka wieczna szczęśliwość. Bardzo łatwo odczuć i zrozumieć różnicę między poglądem narodu ucywilizowanego a zapatrywaniami hordy na takie sprawy. Pierwszy, jeśli przegra wojnę, może wpaść w niewolę, postradać swą niepodległość, ziemię, instytucye, może zginąć całkowicie; drugiej wszystkie te nieszczęścia wcale nie grożą: wyparta z jednej okolicy, posunie się w inną i tam pędzić będzie żywot podobny do poprzedniego. Co ma, to z sobą nosi i po przegranej z sobą zabiera.

Kabylowie zatem mieli dość racyj do wyzwania Hiszpanii, a pierwsze starcie orężne dowiodło, że ich rachuba nie była mylna. Wobec znanych fałszowań przebiegu wojny, dokonywanych zawsze przez stronę interesowaną i mającą w swem posiadaniu telegraf, trudno ściśle oznaczyć, jaki był rezultat bitwy pod Melilą. Mając wszakże pewną wprawę w odczytywaniu właściwego znaczenia takich doniesień, przypuszczać należy, iż hiszpanie ponieśli dotkliwą klęskę, skoro przyznają się do 70 zabitych, 120 rannych i śmierci gubernatora, generała Margallo. Już ta wiadomość spadła gromem w Madrycie. Każdy naród wyczekuje niecierpliwie pierwszych wieści o zwycięztwie — zwłaszcza zaś naród nerwowy i niechcący pogodzić się z tą myślą, ażeby jego regularne wojsko uległo jakiejś hordzie koczowniczej. Dowódcy wypraw i załóg europejskich w koloniach zamorskich muszą koniecznie rozbijać murzynów lub azyatów. Jeżeli tego nie zdołali uczynić, wywołują w swych ziomkach gniew i trwogę. Nad temi uczuciami zapanować może rząd silny i świadom swej potęgi militarnej. Gdyby dahomejczycy pobili francuzów, Rzeczpospolita wie, że wyśle jeszcze jeden, dwa, trzy oddziały wojsk i ostatecznie opornych zgniecie. A chociażby nawet wojna przewlekła się i pochłonęła wiele ofiar, nie wznieci tyle niezadowolenia, ażeby sprowadziła jakiś wybuch rewolucyjny w państwie, które ją prowadzi. Co innego w Hiszpanii. Tam nurty republikańskie przeniknęły całe społeczeństwo i wyczekują wypadku, w którymby mogły obalić ustrój dotychczasowy. Monarchiści zaś mają tylko ideę, ku której zwracają swe sympatye, ale nie mają człowieka, będącego jej żywem wcieleniem. Król jest dzieckiem kilkoletniem, które nawet w swych zwolennikach nie może budzić tych uczuć, co władca dojrzały, który sam rządzi a swych wiernych nagradza za służbę. Do tego położenia dodać trzeba jeszcze tę smutną okoliczność, że hiszpanie są obecnie narodem, pogrążonym w drzemce starości, umysłowego i moralnego wyczerpania. Jeżeli odtrącimy wiadomości o częstych rozruchach i spiskach, pozostanie nam kraj martwej ciszy, usychająca gałąź na drzewie Europy, pokryta jeszcze rzadkiemi, zżółkłemi liśćmi, ale już nierodząca pięknych owoców. Zdaje się, jak gdyby tam nic się nie działo zasługującego na uwagę, jak gdyby ustał wszelki rozwój cywilizacyjny i odbywało się powolne zastyganie życia. Polityka tak mało wciąga do swych rachub Hiszpanię, że prawie ją zupełnie omija przy wszelkich sprawach ogólno-europejskich. To też gdy nadbiegła wieść, że kabylowie marokańscy podnieśli oręż przeciw swym panom i zaborcom, sprawiła ona takie wrażenie, że ten bunt ujdzie im bezkarnie, że niedołężni czy bezsilni hiszpanie wcale go nie pomszczą. Chcieli go stłumić i ponieśli klęskę, która prawdopodobnie w rzeczywistości przerasta miarę urzędowego doniesienia. Wobec zaznaczonych powyżej względów trudno się dziwić kłamstwu. Rząd bowiem nie wątpi, że gdyby przemówił szczerze, w tej chwili cały kraj zapłonąłby ogniem rokoszu. Trzeba więc naprzód zapobiedz większemu złomu, a potem ujawnić mniejsze.

Powyższe uwagi nie zmierzają wcale do dowiedzenia, ażeby hiszpanie nie podołali kabylom. To tylko pewna, że osiągną cel kosztem wielkich ofiar i że jako tryumfatorowie nie „przekroczą granicy swoich interesów,“ przed czem ich ostrzega prasa angielska. W tem ostrzeżeniu zresztą domyślać się należy więcej lekceważenia, niż obawy. Kiedy Francya opanowywała Syam i rzeczywiście naruszała sferę interesów brytańskich, dzienniki londyńskie nie groziły jej tak śmiało, bo to była Francya, posiadająca milionową armię i silne stanowisko międzynarodowe. Z Hiszpanią nie potrzeba sobie robić żadnych ceremo-

nij i można ją ofuknąć już wtedy, kiedy ona myśli o uratowaniu własnej skóry a nie o nadkrojeniu cudzej.

Z AUSTRYI.

Koniec instytucyi państwowej. — Hr. Taaffe w opałach. — Pojedynek między przyjaciołmi. — Dwie niespodzianki. — Podróż cesarza.— Nowy tryumwirat.— Podział spadku.

Powiedziałem w jednym z poprzednich listów, że przedstawienie projektu reformy wyborczej było samobójstwem systemu rządowego w Austryi. Okazuje się teraz, że było ono może również samobójstwem politycznem hr. Taaffego, dokonanem bezwiednie i mimowoli. Trudno wprawdzie oswoić się z myślą, że osobistość dotychczasowego prezesa gabinetu, która przez lat tyle nadawała cechę stosunkom wewnętrznym monarchii, mogłaby zniknąć zupełnie z widowni politycznej. Człowiek ten stał się, wedle dowcipnego wyrażenia, używanego tu często-kroć, czemś więcej, niż ministrem; był on stałą instytucyą państwową. Jak przez lat dziesiątki pojęcie państwa niemieckiego łączyło się z nazwiskiem Bismarka, tak samo myśl o polityce wewnętrznej monarchii Habsburskiej wywoływała w wyobraźni każdego drobniejszą wprawdzie, lecz w swoim rodzaju niemniej typową postać hr. Taaffego. Tam cynizm i uosobiona brutalność, tu cynizm i wcielenie chytrości; tam siła potworna, miażdżąca niemiłosiernie słabszego, tu podstęp i intryga, osnuwające go zwolna siecią pajęczą. Uszlachetnić w oczach przyszłości obraz hr. Taaffego mógłby jedynie upadek jego w chwili obecnej. W takim razie poczytanoby mu może jako zaletę, co w istocie było tylko wypływem miękości charakteru i uległości wobec rad przyjaciela. Uważanoby może za poryw szlachetny to, co było jedynie błędem w obliczeniach tak zręcznego dotychczas rachmistrza.

Nie wiemy, czy karyera polityczna prezesa gabinetu rzeczywiście jest już dziś skończona. Jeśli uwzględnimy zwinność kuglarską, z jaką umiał on dotychczas zachowywać równowagę w najtrudniejszych położeniach, wydaje nam się to dość nieprawdopodobnem. Choćby nawet dziś lub jutro musiał upaść, nie wykluczałoby to jeszcze prawdopodobieństwa, że wstanie znów po kilku miesiącach lub po roku. Jest on tak lekkim, że podniósłby się bez trudności. Nie obarczają go bowiem owe przesądy, które u innych mężów stanu zwą się zasadami. Oświadczył sam przed tygodniem, że w kwestyi reformy wyborczej gotów jest do ustępstw. Nie trudno uwierzyć temu przyrzeczeniu a nawet łatwo przypuszczać, że w danym razie ustępstwa te równałyby się zupełnemu porzuceniu projektu reformy. Nadto silną podporą hr. Taaffego jest bezgraniczne zaufanie i osobista sympatya, jaką cieszy się u cesarza, który niewątpliwie z głębokim żalem uległby konieczności odprawienia tyloletniego swego doradcy i skwapliwie skorzystałby z pierwszej sposobności, pozwalającej mu powołać go napowrót.

Mimo to wszystko położenie chwilowe każe nam liczyć się z możliwością ustąpienia hr. Taaffego. Wskazuje ją bieg wypadków, które odegrały się w ostatnim tygodniu po części na widowni parlamentu austryackiego, a po części po za jego kulisami, jako też okoliczność, że nie rozwiązano dotychczas Rady państwa, jak tego oczekiwano, lecz w ostatniej chwili nastąpiło tylko odroczenie sesyi na czas nieokreślony.

Niespodzianka ta zamknęła szereg licznych innych niespodzianek, które zgotowały nam dwie ostatnie. Główną między niemi był zwrot zasadniczy w stosunku między hr. Hohenwartem a prezesem gabinetu. Przyjaciele tyloletni zamienili się na rywalów, z których jeden stara się wszelkiemi siłami utrzymać w rękach wymykający mu się ster rządów, drugi dokłada wszelkich starań, aby mu go wydrzeć. Zwrot ten zaznaczył się ku ogólnemu zdumieniu wyraźnie dopiero na owem posiedzeniu parlamentu, na którem przewódcy trzech klubów określali w dłuższych przemowach stanowiska swych stronnictw wobec projektu rządowego. Mowa Plenera nie zawierała niczego, coby mogło zwrócić na nią szczególną uwagę. Była ona tylko obszerniejszem powtórzeniem deklamacyj i frazesów, zawartych w poprzedniem oświadczeniu lewicy niemieckiej. Równie obojętne były też wywody prezesa Koła polskiego. Istniała wprawdzie chwila, w której punkt ciężkości położenia leżał w tem Kole i wszystkie stronnictwa oczekiwały hasła z ust Jaworskiego, lecz chwila ta minęła wkrótce. Poznano bowiem, że Koło nie zdobędzie się w tym wypadku z własnej inicyatywy na krok stanowczy, lecz przyłączy się do strony silniejszej. Pobudki kierujące niem w obecnem położeniu są dość jasne. Chce ono przedewszystkiem uniknąć rozwiązania parlamentu i nowych wyborów, które dla członków jego połączone są z wielkimi kosztami, a których wynik wydaje mu się dość niepewnym. Spodziewa się, że w razie targów z rządem co do reformy wyborczej udałoby mu się uzyskać znaczne rozszerzenie autonomii sejmu galicyjskiego, a tem samem zabezpieczyć żywioły panujące obecnie w jego gronie przeciw niebezpieczeństwom grożącym ze strony projektu rządowego. Dla uzyskania ustępstw takich hr. Taaffe byłby osobistością odpowiedniejszą, niż jakikolwiek inny prezes gabinetu, Koło polskie nie ma więc przyczyny dla podjęcia osobistej walki przeciw niemu. Co się zaś tyczy reszty ministrów, to usunięcie Steinbacha, autora projektu, byłoby wprawdzie pożądanem dla Koła, lecz zarazem wprawiłoby ono je w dość kłopotliwe położenie. Najwłaściwszym następcą dla Steinbacha byłby niewątpliwie Biliński, ale ponieważ trudno przypuszczać że zechciałby on zamienić wygodny i bardziej intratny urząd, który piastuje obecnie, na niepewne i uciążliwe stanowisko ministra finansów, przeto prawdopodobnie spadek po Steinbachu przypadłby Plenerowi, a tem samem lewicy niemieckiej. Ewentualność ta nie mogła zachęcać Koła polskiego do stanowczego działania. Wobec zajętego przezeń stanowiska wyczekującego, można się więc było spodziewać silniejszej inicyatywy jedynie od klubu Hohenwarta. Wszelkie oczekiwania prześcignął jednak przewódca tego stronnictwa swą mową, którą wygłosił po Plenerze i Jaworskim. Wiedziano ogólnie, że żywi

---

ZWROT.

przez

Franciszka Coppée'go.

Wobec zamknięcia Izby czcigodny Grandcadet, deputowany Dwóch-Garon siada w pociąg pośpieszny — rozumie się darmo, bo ma bilet okręgowy i jedzie ująć w rękę puls opinii publicznej w swem małem mieście.

Wygodnie usiadłszy sobie w kącie wagonu, rozwija olbrzymi dziennik wieczorny, pismo bardzo lojalne, redagowane w stylu ciężkim i smutnym jak cnota, którego druk nawet ma w sobie coś poważnego, purytańskiego. Epizod panamski — nieznaczny, jak wiadomo i tylko dzięki złośliwości nieprzyjaciół republiki tak rozdęty — rzucony tam niedbale aż na trzecią stronnicę, wydrukowany tak drobnemi czcionkami, że trudno cokolwiek odczytać. Przeciwnie, kolumny surowego pisma wypełnione są polityką zewnętrzną, artykułami nadzwyczaj ważnymi: Psują się stosunki wenezuelskie, albo: Więc dni ministerstwa Trikupisa są policzone.

Ażeby mieć dobrą minę przed kapitanem rezerwowym, siedzącym naprzeciw i zaczytanym w bulanżystowskiej *Kokardzie*, p. Grandcadet nie odrywa oczu od pisma oficyalnego i udaje wielkie zajęcie przesileniem gabinetowem Grecyi i ostatniemi depeszami z Caracas. Ale w istocie i jego trwożą ostatnie wypadki, i do jego duszy wśliznął się ponury niepokój.

Jego imienia nikt jeszcze nie wymówił. Dobrze. On niczego nie pisał, niczego nie podpisywał. Doskonale. Ale któż może zaręczyć w takich chwilach, jak obecna, że pewnego pięknego poranku nie znajdzie się ktoś, co i przeciw niemu ogłosi dokument kompromitujący. Bo wreszcie i on utoczył sobie trochę wina, jak jego koledzy, i on był przekonany, że nie popełnia nic karygodnego. Bo proszę tylko osądzić. Nie miał zdania o ostatniej emisyi papierów; wahał się. Pewien człowiek szanowny, bogaty bankier, którego spotkał w swojej sferze politycznej, z którym był w najlepszych — prawie przyjacielskich — stosunkach, otwiera mu oczy, wyjaśnia, jak jest koniecznem, co mówię, patryotycznem — głosować za emisyą — ten pan, znający życie, prawdziwy dżentlemen robi mu propozycyę — w sposób jak najdelikatniejszy — przystąpienia w charakterze wspólnika do operacyj finansowych, krążących, rozumie się, około tej grubej sprawy i zapewnia mu, płaci naprzód — dla uspokojenia jego skrupułów — zysk, mój Boże, nie tak ogromny, zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy franków... Nie oburzajcie się więc, bylibyście zgodzili się na to zupełnie tak samo, jak p. Grandcadet.

Ja wiem, że odpowiecie mi: „a akcyonaryusze?“ Zastanówmyż się. W razie powodzenia, nie byliby nic mówili, bo ich pieniądze miałyby znakomite umieszczenie. O! to, byli spekulanci, ci panowie. Chcecie wiedzieć, co ja o nich myślę? Nie wiele dobrego. A zresztą, czyż p. Grandcadet mógł odgadnąć, że nie przebije się tego przeklętego kanału? Wszak już przedtem kilkakrotnie pobierał zyski — nie duże — w sprawach podobnych, które mniej lub więcej powiodły się. I nikt nie uskarżał się.

A więc, otwarcie, z ręką na sumieniu — niczego sobie nie wyrzucał. I — czy mam to mówić? Nie wierzył w ten wybuch gniewu ogólny. To wszystko było udawane. Łatwo było w tem dojrzeć zmowę dawnych partyj, ręce hrabiego Paryża i bulanżystów. Prezydent Izby powiedział im to w oczy. Ach!.. ale!.. Na szczęście on, p. Grandcadet postanowił sobie bronić zagrożonej republiki. I to, szanowni państwo, z narażeniem życia. Nikt by go o to był nie posądzał, przy jego podbródeczku, wygolonych bokobrodach i minie adwokata, szukającego wszędzie wyjść. Ale humory i jemu biły do nosa, tak, w razie koniecznej potrzeby, dałby się zabić na barykadzie i podobnie bohaterskiemu Baudinowi, zawołałby: „Patrzcie, jak umiera się... za dwadzieścia pięć tysięcy franków.“

Jednak mimo tych pięknych rozumowań, czcigodny deputowany z Dwóch-Garon nie czuł się zbyt dobrze.

— Muszę wypocząć trochę — powiedział sobie.

Zanurzył swą łysinę w czapkę podróżną, obwinął nogi kołdrą, wyciągnął się na ławeczce i zasnął wnet snem sprawiedliwych.

Ale wtedy czuł, że go coś cisnęło w piersi. To była zmora. Czy sprowadziły ją wy-

on pewną urazę do hr. Taaffego od chwili, w której ten, nie uprzedziwszy go o swym zamiarze wystąpił przed parlament z gotowym projektem reformy wyborczej. Lecz nie przypuszczano, że uraza ta jest dość głęboką, żeby wpłynąć na osobisty stosunek przyjaźni. Tymczasem wódz konserwatystów, bez względu na sprzeczność zdań panującą wśród jego obozu, ujął odrazu ster położenia w swe dłonie i wystąpił z przemową, która nie była bynajmniej powtórzeniem poprzednich dość ogólnikowych oświadczeń klubu, jak u Plenera i Jaworskiego, lecz otwartem wypowiedzeniem wojny osobie hr. Taaffego, nowym programem politycznym a nadto dla uszu uważniejszego słuchacza — oświadczeniem kandydatury mówcy na urząd prezesa gabinetu. Aby usunąć wszelkie wątpliwości co do znaczenia swych słów hr. Hohenwart tego samego dnia przyjął u siebie redaktora najwybitniejszego dziennika wiedeńskiego i opowiedział mu, że miał zasadniczą rozmowę z hr. Taaffem, w której zerwał swą dotychczasową z nim łączność i poradził mu, by się podał do dymisyi.

Program polityczny rozwinięty przez hr. Hohenwarta zawiera jako myśl przewodnią połączenie się wszystkich trzech stronnictw ku wspólnemu działaniu. Jest to, jak wiadomo, frazes, którym posługiwał się tak często hr. Taaffe i który teraz przez dziwną ironię losu zwraca się ostrzem swem przeciw niemu. Pod owem wspólnem działaniem, do którego wezwał przewódca konserwatystów wszystkie stronnictwa, a między niemi też dotychczasowych swych przeciwników, nie należy rozumieć nic innego, jak obalenie wspólnemi siłami gabinetu i jego reformy wyborczej. Ma się rozumieć, że lewica niemiecka uchwyciła natychmiast kurczowo podaną jej dłoń zbawcy. Stał się cud, o którym przed miesiącem jeszcze nie mógł marzyć najśmielszy polityk w Austryi: Plener, Hohenwart i Jaworski zeszli się ku wspólnej naradzie.

Widok ten niespodziany umiał przerazić tak flegmatycznego zwykle prezesa gabinetu, gdyż on, który przed tygodniem jeszcze oświadczył, że nie myśli o ustąpieniu zwrócił się natychmiast telegraficznie do bawiącego w Budapeszcie cesarza z prośbą, aby przybył do Wiednia. Prośba ta była tak pilną, że zbudzono cesarza, żeby mu doręczyć telegram, który nadszedł w nocy, a następnego dnia cesarz znajdował się już w Burgu wiedeńskim. Wedle krążącej tu pogłoski przyczyną nagłego kroku hr. Taaffege była wiadomość o zamiarze przewodniczących trzech klubów, którzy przy naradzie swej postanowili wrzekomo udać się wspólnie do Pesztu na posłuchanie u cesarza.

Przez chwilę dla wszystkich było pewnem, że los hr. Taaffego jest rozstrzygnięty, tem bardziej, że dowiedziano się natychmiast, iż w sam wieczór przybycia cesarza do Wiednia gabinet podał się do dymisyi. Lecz miała nastąpić jeszcze jedna niespodzianka. Dymisya hr. Taaffego i jego kolegów nie została przyjętą a natomiast nastąpiło odroczenie sesyi parlamentu na czas nieokreślony.

W gruncie rzeczy postanowienie to cesarskie nie zmieniło zasadniczo położenia. Przerwa w sesyi parlamentu nie może trwać długo, gdyż budżet roczny musi być uchwalonym najpóźniej w ciągu grudnia. Mimo to wpływ tej przerwy na dalszy obrót spraw może być dość znacznym. Większa część posłów opuściła już Wiedeń, reszta opuści go w najbliższych dniach. Pozostaną wprawdzie wodzowie stronnictw lecz nieobecność ich zwolenników osłabi niezawodnie energię ich działania. Tego właśnie chciał niezawodnie hr. Taaffe. Wie on, że jeśli uda mu się powstrzymać chwilowo zbliżenie się trzech klubów, ów sojusz, którym zagroził mu hr. Hohenwart wcale może nie dojdzie do skutku. Że musiałby się on rozbić w najkrótszym czasie, o tem chyba nikt w Austryi wątpić nie może. Lecz pewność ta nie wystarcza, aby pocieszyć hr. Taaffego, gdyż choćby owo przymierze istniało tylko przez jedną chwilę, chwila ta wystarczyłaby dla zguby prezesa gabinetu. Musi on więc przeszkodzić ziszczeniu się planu, obmyślanego przez byłego przyjaciela jego a obecnie najniebezpieczniejszego z wrogów. Na szczęście dlań projekt hr. Hohenwarta napotka jeszcze wiele przeszkód. Wprawdzie prasa liberalna i konserwatywna rozgłaszają dziś już w tonie tryumfującym, że koalicya klubów stała się faktem dokonanym, lecz zapewnienie to jest tylko wyrazem życzeń, żywionych po obu stronach i nie odpowiada bynajmniej rzeczywistości. Wspólny program działania został jedynie uchwalony między Kołem polskiem a stronnictwem hr. Hohenwarta. Co się tyczy stosunku między tymi klubami a lewicą, to istnieje tylko wspólność opozycyi przeciw projektowi reformy, a przy innych punktach programu nowi sprzymierzeńcy będą mieli jeszcze dość sposobności do pokłócenia się między sobą. Wśród ciszy wywołanej przerwą obrad parlamentarnych odezwą się niebawem tem głośniej spory osobiste, gdy będzie szło o rozdzielenie tek ministeryalnych. Miejsce prezesa gabinetu przypadłoby najprawdopodobniej hr. Hohenwartowi, obok którego wymieniają dziś jako kandydatów namiestnika Galicyi hr. Badeniego, księcia Alfreda Windischgrätza i namiestnika czeskiego hr. Thuna. Ze strony niemieckiej weszliby do gabinetu Plener i Chlumecky, ze strony polskiej w każdym razie Jaworski. Lecz wszystko to jest dziś jeszcze tylko przypuszczeniem a podział spadku po hr. Taaffem może stać się tak trudnym, że ocali on życie spadkodawcy. Obrót, jaki wzięły sprawy, staje się coraz bardziej charakterystycznym dla stosunków austryackich. Zaczęło się od projektu reformy społecznej, a kończy się tymczasem na pojedynku osobistym między hr. Hohenwartem a hr. Taaffem!

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Eskadra ruska opuściła już Francyę śród nadzwyczajnego entuzyazmu ludności i dowodów wielkiego ugrzecznienia ze strony władz. Na ostatni dzień zjechał do Tulonu Carnot, gdzie otrzymał łaskawy i pochlebny telegram od Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, na który odpowiedział natychmiast depeszą pełną dziękczynień.

---

rzuty? Mnie zdaje się raczej, że zawiele zjadł zająca w restauracyi na dworcu. Powinien był uważać. Zając zawsze źle mu skutkował.

Sny miał haniebne.

Najpierw śniło mu się, że wraca do domu, otwiera swój kufer i widzi, że go okradli i na miejsce wielkiego zielonego pugilaresu, kryjącego wszystkie jego papiery wartościowe, położyli zupełnie próżną pończochę wełnianą. Potem naraz przeniósł się do Izby deputowanych, ale był sam w swej ławce, w sali pustej i blado oświetlonej. Wszystkie pulpity były zamknięte, drzwi zaryglowane. Ani śladu człowieka, tylko olbrzymi cylinder, wielki jak wanna ogrodowa, położył ktoś na biurze prezydenta. Grandcadet spoglądał nań osłupiały. Wtem nagle z nienaturalnego okrycia głowy zaczęły pryskać niezliczone kartki białe, a na nich nieszczęsny deputowany, obdarzony teraz nadprzyrodzoną siłą wzroku, czytał imię konkurenta z ostatnich wyborów. Ale naraz kapelusz złożył się sam, sufit opuścił się, mury zbiegły i Grandcadet na domiar zdziwienia i przestrachu, ujrzał się przed sądem, między dwoma żandarmami i poznał pod sukniami o czerwonych rękawach i pod czapkami złoconemi prezydenta i dwóch towarzyszy, swego portyera, swego golarza i jego żonę, wszystkich zrujnowanych na Panamie. Prezydent wstał i czytał głosem grobowym wyrok nadzwyczajny, skazujący Imci Grandcadeta, dawnego deputowanego na ozłocenie wieży Eiffla własnym kosztem w przeciągu sześciu miesięcy, a potem na przybicie żywcem do konduktora tejże budowy.

To było straszne. Deputowany zbudził się i skoczył. Światło. P. Grendcadet poznał wzgórza i winnice swojej ojczyzny wyborczej.

— Stanowczo zając mi szkodzi — myślał sobie. Miałem głupie sny. Ale niech zginą te złe wróżby. Jestem pewny swego okręgu. Socyalistów tu niema; a jedynego możebnego kandydata monarchistycznego de la Tour-Prend-Garde nie boję się. Zresztą nikt nie zna mojej historyi o dwudziestu pięciu tysiącach franków. Śmiało!

Powóz czekał na dworcu pana deputowanego. Pełny spokój miasta ojczystego wydawał mu się znakomitą wróżbą. Gdy przejeżdżał, biały koń, wymalowany na szyldzie oberży, w której schodzili się bulanżyści, nie zaczął rżeć: precz ze złodziejami! a kogut blaszany, przytwierdzony do szczytu dzwonnicy, nie wyśpiewał: Panama, zamiast kukuriku!

Gdy przybył do domu, służąca Teresyna, którą uprzedził o przyjeździe, podała kawę i odezwała się do niego nieśmiało:

— Panie Grandcadet, mam panu coś przykrego wyznać.

— Cóż to moja droga?

— Najpierw to, że wychodzę za mąż.

— Za Piotra, siodlarza z przeciwka. No to już od dwu lat układa się... Wiedziałem o tem... Ślub na przyszły tydzień, tak?

— Tak... Ale oto co... Przed zapowiedziami poszłam do spowiedzi... i tam wyznałam przed księdzem proboczczem winę, jaką popełniłam względem pana...

— Winę, względem mnie?

— Koniec końcem, panie, przebacz mi, zawołała Teresyna, wybuchając płaczem. Okradłam pana... tak, okradam pana od dwóch lat... i to powiedziałam księdzu, który kazał mi oddać, co wzięłam... i oto pańskie pieniądze, aż do ostatniego grosza, przysięgam!..

I biedaczka wyciąga z kieszeni garść złota i drobnej monety i wysypuje wszystko przed panem.

— Jakto? Okradałaś mię? — woła Grandcadet, pełen zdziwienia i gniewu.

— Ach, panie, nie gubcie mię i nie mówcie nikomu, zaklinam!.. Widzicie wreszcie, że nie jestem nieuczciwa, bo wszystko panu oddałam.

— Niech będzie... Dobrze, dobrze, idź odparł pan niecierpliwie.

Pozostawszy sam, zaczął dumać. Nie myślcie proszę, że np. chce teraz oddać swoje dwadzieścia pięć tysięcy. Raz na zawsze uważa swój zysk za nabyty i prawnie nabyty. Nie, czyn tej biednej dziewczyny, której ksiądz przypomniał zapomniany katechizm, wywołał refleksyę socyologa, refleksyę polityka w umyśle p. Grandcadeta. On duma chwilę. Potem zbiera pieniądze, zostawione przez Teresynę, wkłada do kieszeni i wtedy — ktoby to uwierzył — on, ognisty antiklerykał, cedzi przez zęby:

— Co tam mówić. Potrzeba religii... dla ludu.

Tłom. z franc. *W. Bugiel.*

Pomiędzy prezesem obecnego gabinetu włoskiego Giolittim a prezesem poprzedniego Rudinim zawiązała się dość ostra polemika, prowadzona w formie mów, artykułów i listów otwartych, która ma znaczenie nietylko sporu osobistego, ale dotyczy spraw ogólniejszych. Rudini zarzuca swojemu następcy, że ten prowadzi państwo do bankructwa, ten zaś twierdzi, że je odciąga od przepaści, której jego poprzednik nie widział. Po za temi wzajemnemi oskarżeniami istnieje fakt ekonomicznego niedomagania Włoch pod względem finansowym. Ta choroba ciągnie się od lat wielu, a nie wynalazł na nią lekarstwa ani Rudini, ani Giolitti, ani żaden z obecnych uczestników konsylium politycznego. Wszyscy bowiem usilują tylko złagodzić objawy, nie usuwając i nie mogąc usunąć przyczyny — którą jest budżet wojskowy, przeciążający siły biednego narodu.

Nareszcie prezydent Stanów Zjednoczonych zmógł swym uporem przyjaciół „królów srebrnych“ w senacie. Bill Shermana, zobowiązujący państwo do zakupywania pewnej ilości srebra i składania go w swoim skarbcu a tym sposobem podtrzymywania jego ceny, został zniesiony. Kto bodaj pobieżnie zna tajemnice tego *businessu*, kto wie, jakimi rozporządzają wpływami i jakich sztuk używali *silbermeny*, ażeby zachować tę opiekę dla ich kruszcu, ten pojmuje, jaka zażarta walka toczyć się musiała w łonie senatu i jak wielkie znaczenie, nietylko miejscowe, ma jego uchwała. Po wycofaniu srebra z monety przez rząd indyjski, po ciosach, jakie uderzyły w ten metal ze strony państw europejskich, dążących do monometalizmu, zniesienie billu Shermana jest dla *silbermenów* ostateczną klęską.

Reforma ta pociągnie za sobą inną, również bardzo ważną, rewizyę billu Mac Kinleya, który odciął Stany Zjednoczone od reszty świata murem wysokich ceł. Ameryka nie przerzuci się do wolnego handlu, ale niewątpliwie złagodzi surowość swego systemu ochronnego.

Wkrótce już ożywi się drzemiąca polityka, gdyż w wielu państwach zwołane zostały parlamenty. Szczególną ciekawość budzi sejm niemiecki, gdyż ma on uchwalić pokrycie dla pomnożonej armii, czyli oblec słowo ciałem. Dopóki bowiem rząd nie ma potrzebnych 100 milionów marek, dopóty ofiarowane mu nowe pułki pozostają na papierze. Trudna to będzie sprawa dla ministra finansów uzyskać zgodę na nowe podatki, obecna wszakże chwila sprzyja temu przedsięwzięciu bardziej, niż jakakolwiek inna. Kanclerz Caprivi z ostatnich wypadków z pewnością poczerpnie nowe argumenty dla swego projektu.

Układy rusko-niemieckie w przedmiocie taryfy celnej nie wychyliły się dotąd z poza swej osłony. Podczas gdy jedna część prasy twierdzi, że one dobiegają do końca, druga utrzymuje, że tego końca nie można spodziewać się wcześniej, niż za trzy miesiące.

BADANIA NAUKOWE.

„JURIS IGNORANTIA.“

Prof. A. Menger, *Das bürgerliche Recht und die besitzlosen Volksklassen*. — Dr. B. Łoziński, *Juris ignorantia*. Lwów, 1893. — Dr. L. Dargun, *Juris ignorantia*.

Prawo jest surowe dla każdego, kto go nie zna. Nieznajomością prawa bowiem nikt zasłaniać się nie może. Tak stanowią wyraźnie nasze kodeksy, taką jest stała norma na całym obszarze ustaw. Tysiące lat sterczy ona w dziedzinie prawa, jakby skamieniałość odwieczna, niezachwiana w swojej podstawie, niespożyta w swej mocy, powtórzona w nowoczesnej kodyfikacyi, w najsurowszej formie, a zawsze zasłaniana powagą prawników rzymskich.“ Temi słowy rozpoczyna Bronisław Łoziński swą pod wielu względami znakomitą, a w warunkach naszej literatury prawno-filozoficznej niezwykłą rozprawę prawno-społeczną. Ustawodawca tedy przypuszcza powszechną i zupełną znajomość prawa. Z drugiej znowu strony najoczywistszą prawdą najzwyklejszej logiki życia codziennego jest zasada, że usłuchać rozkazu nie może, kto o nim nie wie. Z zestawienia więc tych dwu zdań wynika alternatywa, której skutki są zawsze fatalne: należy albo znać prawo w zakresie idealnym, o czem wątpić należy, albo jak struś schować głowę przed zbliżającem się niebezpieczeństwem w lotny piasek kazuistyki obrończej, czyli zdać się na łaskę lub niełaskę niepewnych losów. Lecz może w rzeczy samej znajomość prawa jest powszechną, wiadomą i odczuwaną na równi z przykazaniami panujących wyznań religijnych? Czy tak jest w istocie? Czy, zawierając najprostszą chociażby, tak częstą w życiu, umowę kupna-sprzedaży lub najmu, my ludzie zwykli, szara masa uliczna pracobiorców i najmitów, wiemy albo przewidzieć umiemy, jakie ukryte, niekiedy nieprzezwyciężone kamienie obrazy napotkamy przy urzeczywistnianiu naszych praw? Czy widzimy, jakiem niebezpieczeństwem grozi nam żmija „niezgody,“ ukryta w pięknym kwiatowym kielichu „pisanego rozumu“ prawa? Czy zwykły śmiertelnik ma pojęcie dokładne o prawnej wysokości podatków, które mu płacić każą; o granicach władzy urzędników? Na wszystkie te pytania, nie czcze i próżne, ale przeciwnie grozą ciągłych strat brzemienne, odpowiedź brzmieć musi przecząca, a w niej zawarty jest już wyrok na samą zasadę.

Oczywiście więc istnieje stanowczy rozbrat między życiem a prawem, „jak gdyby jedno bez drugiego obejść się mogło, jak gdyby każde z nich miało byt od drugiego niezależny. Prawo zawiera rozkazy i zakazy, prawidła postępowania i określenie skutków, przywiązanych do pewnych czynności. Lecz zachodzi potworna nielogiczność, bo te rozkazy i prawidła są ślepe, bo ci, dla których wydane zostały, ani ich nie znają, ani ich znać nie mogą. Zdaje się zatem, że postęp, który jest hasłem ludzkości od początku jej istnienia, staje się wstecznym ruchem właśnie na polu prawa, że błogosławieństwo, przywiązane do porządku, staje się przekleństwem. Na miejsce mechanizmu doskonałego, służącego ku zabezpieczeniu i wydoskonaleniu życia, wstępuje bezduszna maszyna, miażdżąca człowieka w istnieniu jego, pochłaniająca nieskończoną masę szczęścia ludzkiego na korzyść niewielu wtajemniczonych w sztukę poruszania tych niezliczonych kółek i dźwigni“ (Dargun).

Stan taki atoli nie jest wiecznie z istotą prawa związanym. Życie rozwija się o wiele szybciej, niż prawo, które właściwie podąża tylko za niem, wzorując stosunki życiowe. Ilość zwyczajów powiększa się, powstają sprzeczności, niedające się pogodzić, aż dopiero ustawodawca przetnie węzeł wątpliwości ostrzem swej silnej woli. Zanim to atoli nastąpi, w pewnej dobie nikt nie wie właściwie, co jest prawem zwyczajowem; w takiej atmosferze najlepiej się rozwinąć może *juris ignorantia*, tak szkodliwa w następstwach dla jednostek i dla całego społeczeństwa. Jak usunąć te „niewiadomości prawa“? Zdaniem dr. Łozińskiego uchylenie radykalne tej zasady nie da się żadną miarą przeprowadzić. „Proszę tylko wyobrazić sobie stan, jakiby zapanować musiał natychmiast po obaleniu zasady: *juris ignorantia nocet*; zachwianie do gruntu wszystkiego, co dziś, jako oparte na prawnej podstawie, posiada osłonę prawną, słowem, powszechny kataklizm prawny — oto nieuniknione następstwo takiego radykalnego środka zaradczego. Cóż łatwiejszego bowiem byłoby w takim razie, jak kwestyonowanie każdego stosunku prawnego zarzutem, że zaszedł wypadek wyzyskania nieznajomości prawa? Końca i miary nie miałoby takie kwestyonowanie, każdy byłby zagrożony w tem, co mieni swojem, co rzeczywiście posiada i do czego czuje się uprawniony.“ Zarzuty tej natury, co przytoczone przed chwilą przez p. Łoz., niekoniecznie same przez się są w stanie przekonać nas o niemożliwości zniesienia owej fatalnej zasady; ale naprzód pójdźmy dalej za autorem.

Jeśli więc — ze stanowiska p. Łozińskiego — zasada „niewiadomości prawa“ uchylić się nie daje, to nie pozostaje nic innego, jeno ażeby prawo jak najszerszem korytem płynęło przez nieświadome masy i ażeby ono głoszone było w formie dla wszystkich przystępnej. Czy ustawodawstwa nowsze odpowiadają temu zadaniu?— pyta dr. Łoz. Bierze on za punkt wyjścia najnowszą wielką pracę na tem polu: projekt kodeksu cywilnego niemieckiego — i odnajduje w nim niestety kardynalną wadę, a mianowicie nieuwzględnianie rzeczywistych potrzeb i stosunków życia, „spisywanie, kombinowanie i zaokrąglanie tylko zasad starego prawa“ (rzymskiego), ale nie prawo żywe, wyrastające na żyznej glebie życia nowoczesnego, prawo dla wszystkich jasne, zrozumiałe, prawo, jakiem być winno — prawo popularne. W wyższym jeszcze stopniu, niż prawo prywatne, nosi na sobie tę cechę administracyjne. Dwa rozdziały swej znakomitej książki (IV i V) poświęca autor udowodnieniu tedo faktu. Na tem polu bezpodzielnie i nieograniczenie panować musi „chaos“ rozporządzeń i nieokiełznana samowola. Całe biblioteki ustaw i dekretów składają się na wspaniały stos ofiarny, na którym spala się dobra wola urzędnika (a więc specyalisty, nie prostaka), zamierzającego poznać wszystkie tajniki swego państwa, całą opokę fundamentową swej władzy. Kiedy wypadło pewnego dnia powziąć postanowienie w sprawie niemającej poprzedniczek, minister austryacki Giskra objawił z góry decyzyę, która nie miała ściśle przez kodeks określonej podstawy, a sprzeciwiającemu się takiej samowoli radcy, odpowiedział: musi przecież znaleźć się dekret kancelaryi nadwornej, potrzebny do uzasadnienia takiego postanowienia! Ta anegdotka charakteryzuje wyśmienicie rozpaczliwy stan rzeczy. Są działy ustaw administracyjnych, które istnieją bez żadnych stałych podstaw, skoro się mogła ustalić w Austryi legenda, że niektóre ich rubryki (jak np. o opłatach) znane były jednemu tylko urzędnikowi ministeryalnemu, który już dawno umarł. Cóż dopiero mówić o publiczności, wydanej na bezlitosną pastwę przepisom, których nie zna, a któremi osłonić się może każda dowolność administracyjna. Istnieje austryackie rozporządzenie z dnia 24 kwietnia 1854 r., które karze policyjnie przestępstwa wprost nieuchwytne, jak nieprzyzwoite zachowywanie się wobec organów politycznych i policyjnych (bez bliższego podania kryteryum karygodności), czyny demonstracyjne, objawiające niechęć przeciw rządowi lub lekceważenie rozporządzeń jego itd. „Możnaby — mówi Dargun — trzymając się brzmienia tych słów ostatnich, ze spokojnem sumieniem zamknąć lub zmusić do złożenia kary pieniężnej całą ludność państwa z wyjątkiem kilku urzędników, małych dzieci i innych osób niepoczytalnych.“ Ta jedna ustawa, mało komu znana, gnębiąca i zagrażająca spokojowi najcichszych w tłumie ludzkim, wystarcza dla scharakteryzowania całego mechanizmu. Że stan taki — mówi dalej

Dargun — jest barbarzyński, śmieszny i nielogiczny, że nie odpowiada ani godności państwa, ani najżywotniejszym interesom społeczeństwa, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Jakaż droga wyprowadzić nas ma z tego labiryntu krętych krużganków, gdzie co chwila przed oczami błądzącego wędrowca rozwiera się przepaść gwałtu, bezprawia, złej woli? Stawiając takie zapytanie, przechodzimy do drugiej części pracy p. Łozińskiego. Według niego reforma sprowadzić się ma do dostatecznego obznajmienia szerokich mas ludowych z przepisami prawa obowiązującego, a z drugiej strony do bardziej wstrzemięźliwego i oględnego wydawania przepisów, nieodpowiadających rzeczywistym potrzebom ludu. Dla osiągnięcia pierwszego z dwu proponowanych środków p. Łoz. projektuje przedewszystkiem bardziej konsekwentne rozrzucanie dziennika ustaw, zastosowanego do potrzeb każdego poszczególe kraju korony austryackiej; sam atoli nie obiecuje sobie wiele z tego drobnego ćwierć-środka, któżby bowiem czytał i rozcinał rozrzucony dziennik? Zresztą trudno wymagać od każdego obywatela, ażeby był prawnikiem, właściwie pewne tylko główne zasady powinny być każdemu znane. Wobec tego uderza autor na system nauczania szkolnego, który zamiast „czynów i czasu panowania króla Nabuchodonozora oraz innych władców tej kategoryi“ mógłby z większą słusznością uwzględniać zagadnienia społecznej wagi, jak umowa, jej warunki i skutki, własność i jej rozwój, panowanie i upadek, zbrodnia itd. Wreszcie, o czem myśleli już kodyfikatorowie ustawy cywilnej austryackiej, powinny być wydawane poradniki albo katechizmy prawne. W szeregu środków znajdujemy także zapożyczoną z Anglii t. zw. „republikacyę“ ustaw w zestawieniu przepisów, odnoszących się do jednych i tych samych przedmiotów. Jeżeli dodamy do tej listy żądanie przedłużenia czasu pomiędzy chwilą ogłoszenia a chwilą obowiązywania ustawy, a także żądanie zniesienia rozwielmożnionej dzisiaj „poprawkomanii,“ która uniemożliwia ciałom parlamentarnym wydanie ustawy dobrze sformułowanej — to wyczerpiemy cały arsenał środków d-ra Łozińskiego *).

Dla lepszego wykazania nawskróś konserwatywnych przekonań autor ten powiększył swą pracę o jeden (najzupełniej zbyteczny) rozdział, w którym objawił nam przykazania galicyjskiej „nauki“ (!), w szczególności galicyjskiej etyki, dziwnie odbijających swą barwą od jego zapatrywań w zakresie prawa i administracyi.

Zauważyliśmy już wyżej, że wszystkie przez Ł. bronione środki są zaledwie lekarstwami, za pomocą których leczy się objawy, ale nie przyczyny choroby. Fikcya nieznajomości prawa jest jedyną w kodeksach nowożytnych i dla tego rozważana niezależnie od kodeksów samych, bez rozpatrzenia ostatniej ne tle stosunków historycznych, w jakich powstały, nie może ani być określona ostatecznie, ani też usunięta. Nie należy bowiem zapominać, że prawo prywatne obowiązujące na kontynencie europejskim może być uważane za ugodę, zawartą pod wpływem W. Rewolucyi francuskiej i ruchów późniejszych pomiędzy wielką i drobną własnością i narzuconą klasom wydziedziczonym. Dzisiaj stan rzeczy zmienił się do gruntu. „Tętno ruchu społecznego, mówi niezapomniany Dargun, jest jakby spiżowym głosem dzwonu, dzwonu, w którym bije serce, ale nie spiżowe, lecz gorące serce ludzkie, które czuje jako krzywdę to, co uchodzi za prawo i sprawiedliwość.“ Kwestye podobne do tej, jaką za przedmiot swego badania obrał dr. Łoz. są czemś więcej, niż teoretycznemi, są raczej częściami wielkiego zadania, które wszechwładna potęga czasu zakreśliła państwu i społeczeństwu obecnemu. Nie łudźmy się jednak. Pierwsze to dopiero znaki „na niebie i ziemi“ — zwiastujące nie tyle powstanie lepszej ery ustawodawczej, ile chociażby narodziny literatury, która do zmian, do reform nawoływać zaczynała. Przypomnijmy sobie tylko, ile wrzawy wywołał dzielny profesor Antoni Menger, kiedy przed dwoma laty poddał krytyce najnowszy projekt kodeksu cywilnego niemieckiego ze stanowiska właśnie „der besitzlosen Volks-klassen“; z jakim tryumfem wyklęty został przez kapłanów urzędowej nauki prawniczej. Tak, nie łudźmy się: to pierwiosnki tylko, które z pod śnieżnego całuna wyłaniają nieśmiało i trwożliwie drobne swe kształty; nie wierzy im doświadczony ogrodnik; dla niego zwiastują one zaledwie — nadzieję.

S. P.

*) Dr. Łoz. wspomina także o pomyśle Benthama, ażeby „o ustawach objaśniano ludność w kościołach po nabożeństwie.“

LITERATURA I SZTUKA.

DJABEŁ W POEZYI.

I.

Bez ceremonii zagarniamy nagłówek książki p. Ignacego Matuszowskiego, która również ponętny i obiecujący nosi tytuł, jak powabny opiewa przedmiot *).

Djabeł nie postradał swej mocy na tym najlepszym ze światów, ale na pewno nic ze swego uroku nie stracił w poezyi, dla której był do ostatnich czasów postacią ulubioną, uprzywilejowaną. Jest on potężną dynastyą, która rozgałęziwszy się na mnóstwo pokoleń i linij, opanowała literaturę nadobną i zawsze w swym rodzie znajduje kogoś, coby przynależną jej cząstkę władzy sprawował. Są to więc rządy i nieprzerwane i bardzo często wieloosobowe, bo niejedna chwila w rozwoju poezyi pochlubić by się mogła kilkoma naraz wybitnemi odmianami djabła. Wobec tego bardzo naturalną będzie ciekawość krytyka, jakim w tych długowiecznych rządach rodzina djabelska uległa zmianom i w jakim stosunku duchowego pokrewieństwa zostają do siebie różni a liczni jej przedstawiciele. Taka pobudka prawdopodobnie skłoniła i autora książki, o której mowa, do podjęcia mozolnej pracy historycznej i porównawczej.

Postawiwszy sobie bowiem tak szerokie zadanie, nie można było z ogólnego tłumu wybierać jednostek, mniej lub więcej miłych sercu, lecz należało uwzględnić wszystkie ważniejsze gatunki. Jesteśmy więc prowadzeni przez istny labirynt czarciego plemienia, od najstarszych do najmłodszych i nawet współczesnych jego siedzib w poezyi. Pod warunkiem, że będziemy uważać djabła za najogólniejsze uosobienie złego, śledzimy jego tropy wszędzie, gdzie artystyczna wyobraźnia ludów ślady złych potęg zostawiła, a więc w piśmiennictwach starożytnych, jak sanskrycka, perska i żydowska, jak świat klasyczny, wieki średnie, ten najpłodniejszy lęgnik szatanów i demonów i wreszcie czasy nowe.

Oczywiście głęboka zachodzi różnica między rolą wcieleń złego w kultach wielobożych a ich znaczeniem w religiach jednobożych, różnica tak wielka, że z jej łaski całkiem odrębnie przedstawia się djabeł azyatycki, wyhodowany w ogólnej kolebce oświaty, i djabeł pod wpływem judaizmu i chrystyanizmu rozpleniony znacznie później po naszej oświacie. Tam mamy do czynienia z poezyą żywiołową, ze świętemi księgami miejscowych wierzeń i zabobonów, które jeno z naszego dzisiejszego punktu widzenia mogą być uważane za wytwór artystyczny; tu roztacza się przed nami galerya figur, pomyślanych z całą świadomością sztuki. Stąd też rozdziały wcześniejsze, poświęcone rozbiorowi pierwiastku złego na starożytnym wschodzie, mają z konieczności charakter więcej filozoficzny, gdy w dalszych przemawia żywioł estetyczny.

Z pojedynczych tych wędrówek, a w końcu i z całej wyprawy autor wynosi plon dosyć obfity, w postaci pewnych wniosków poszczególnych oraz twierdzeń natury ogólnej. Przekonywająco dowodzi, że u indusów podkład ściśle panteistyczny ich trójbóstwa, Brahmy, Wisznu i Siwy nie dopuszczał zupełnego i trwałego rozdwojenia mocy pozaziemskich, wszystko bowiem, co było na razie odszczepionem, wracało później do pnia wspólnego. Wykazuje dalej, jak znów naodwrót mazdeizm perski sprzyjał usamowolnieniu złego w osobie Arymana, dzięki swemu zasadniczemu dualizmowi i dzięki odwiecznej walce dwu wrogich sobie potęg, twórczej i niszczącej. Z przeglądu mitologii greckiej i wypielęgnowanej przez nią poezyi osiąga pewność, że i tam harmonijny pogląd na świat nie pozwalał bóstwom złym wybujać nad pewną skromną miarę, że czynił z nich zwyczajne sługi sprawiedliwości Olimpu, albo jeśli wyobrażał je sobie jako rokoszan przeciw wszechwładzy Zeusa, to prędko je z nim godził. Z innych znowu przyczyn, bo z powodu ścisłego monoteizmu nie mógł djabeł urosnąć w równoznaczną z Bogiem siłę u żydów, a tam, gdzie po raz pierwszy występuje, mianowicie w księdze Hioba, odznacza się wprawdzie złośliwością i sceptycyzmem, ale nie przestaje być posłusznym niewolnikiem Jehowy. I toż samo dotyczy Koranu, gdzie buntowniczy Iblis korzy się w końcu przed Allahem.

Ziarenko demonizmu, tkwiące w szatanie, kusicielu Hioba, wypuściło jednak kiełki i wyrosło w rozłożyste drzewo. Z mieszaniny wpływów platońskich, wschodnich, żydowskich i tych wszystkich, co się warzyły w olbrzymim kotle filozofii pogreckiej, wyszły różne sekty, pstre systemy, gnostycyzm i kabała, a w ich odmęcie ugruntował się rodzaj dualizmu bardzo sprzyjającego djabłu. Krańcowym wyrazem tej dwoistości był fakt, że sam kościół uznał istnienie szatana za dogmat. Bo też wobec zepchnięcia świata materyalnego na poziom padołu grzesznego i podlejszego, inaczej być nie może. Już w apokryfach Henocha legion aniołów opuszcza niebo, ażeby zmieszać się z ludźmi, rozsiać między nimi wiedzę i zepsucie i przeciwstawić Bogu jako zuchwałych, dumnych spiskowców. Od tej pory djabeł jędrniał i potężniał i zyskał swój charakterystyczny profil upadłego geniusza, który obok krnąbrności i szkodnictwa dla samej idei złego, miewa i zalety szlachetne, a często nawet szczery, rozrzewniający sentyment dla rodu człowieczego. Wówczas też rozmnaża się on w literaturze i legendach tłumu w ogromny naród o bardzo zróżnicowanym składzie, spowinowaca się z legionem czarownic i opętańców, przyswaja i podbija piekła wszystkich szczepów, wprowadzających swoje poetyckie dopływy do ogólnego zbiornika cywilizacyi europejskiej.

Zaznaczamy ten fakt pobieżnie, nie mogąc, rzecz prosta, zapuszczać się wraz z autorem w charakterystykę germańskich Jotów, celtyckich Merlinów, skandynawskich Lokich. Bada on epokę po epoce poezyę chrześciańską i śledzi, jak każda z nich oddziaływa na stronę wierzeniową i arty-

*) *Djabeł w poezyi*, studyum krytyczno-porównawcze, 1894. Nakładem księgarni Centnerszwera.

styczną djabła. Gromadzi ciekawe dane o jego stosunku do duchowieństwa średniowiecznego, do kobiet, do kultu Matki Boskiej, jego zwycięzkiej pogromczyni; szkicuje jego oblicza poważne i komiczne, rozbiera wszystkie rozgałęzienia drzewa genealogicznego i następstwa teologicznej samodzielności, wreszcie ocenia jego wartość i znaczenie w poematach wybitnych, jak Dantego, anglo-saskiego mnicha Caedmona, Hansa Sachsa, Machiawela, Miltona, Torkwata, Tassa, Ben Jonsona, Marlowe'a, van den Vondela, holendra; w okresie fałszywego klasycyzmu i aż do naszych dni. Rezultat tej wyładowanej faktami i nazwiskami części sprowadza się do zaznaczenia, iż w ewolucyi djabła dają się między innemi rozróżnić dwa jego typy, ujemny i dodatni. Pierwszy wyposaża go najczęściej w brzydotę i potworność i odbiera mu godność istotnego rywala Boga, czyniąc zwyczajnym pachołkiem, częstokroć bardzo zabawnym; drugi zaś składa się z cech szlachetnych, rozumu, odwagi i humanitarności, zespolonych z samowiedzą tak silną, że walczy ona i współzawodniczy z bóstwem. Tamten wije się przez historyę całą, ażeby znaleźć ostatni swój, artystycznie dojrzały i wypukły okaz w Mefistofelesie Goethego, ten zaś dobiega mety poetyckiego rozwoju w Lucyferze z *Kaina* Byronowskiego. Do niego mają skłonność ludy protestanckie, nie wolne od pewnego dualizmu, gdy naodwrót, poprzedni znajduje zaporę do osiągnięcia potęgi sympatycznej—w ścisłej jedności dogmatu katolickiego.

Obu wróży autor, że już nie zmartwychwstaną i nie wedrą się na ów szczyt niebotyczny, na którym postawiło ich natchnienie dwu wielkich poetów. Na przeszkodzie stanie dzisiejszy kierunek literatury, który wyjaławia fantazyę twórczą i po prostu nie ma już nic do powiedzenia po tem, co zdziałali Byron i Goethe. Stąd też dzisiejszych satanistów ze szkoły dekadentów uważać należy za eklektyków albo też niefortunnych odnowicieli, pozbawionych daru kształtowania i zalety szczerości.

Nie lepiej przedstawia się rachunek żywiołu demonicznego w poezyi polskiej, której poświęcony został osobny rozdział, obfitujący w przytoczenia i dane, dla niejednego zapewne czytelnika całkiem świeże. Tu okazuje się, że magnetyczny urok Mefistofelesa Goethowskiego paraliżował samorodny polot i pomysłowość wieszczów naszych i aczkolwiek bardzo rozmiłowanym w djabelstwie, nie pozwolił zdobyć się na typ swojski, do którego bardzo bogata skarbnica pomysłów ludowych, pełnych rodzajowości i humoru, dostarcza nieocenionego materyału. Jedyny Mickiewicz w *Pani Twardowskiej* obiecywał, że mógłby coś odmiennego a wysoce rodzimego stworzyć. Nie brakło też koncepcyj oryginalnych i głębokich, jak szatan w *Twardowskim* Szujskiego, albo też byroniczny czart Romana Zmorskiego, jak *Anioł upadły* Romanowskiego, jak Masynissa w *Irydyonie* Krasińskiego lub szatan Czajkowskiego, ale są to bądź naciągane i niejednolite zlepki zbyt wielu jak na jedną osobistość momentów psychicznych, bądź też mgliste oderwania, już dla tego samego pozbawione zdolności do życia trwalszego.

Taką jest w najzwięźlejszem skróceniu treść książki p. Matuszewskiego. Dla uzupełnienia wizerunku godzi się podkreślić jej wielostronność, jako skutek niezmiernie rozległego oczytania, w którem nie brak elementów drogocenniejszych, kruszcowych, w postaci sądów krytycznych, nieraz bardzo trafnych, a także znajomości literatury filozoficznej. Są w niej miejsca, które czytelnik przeciętny pochłonie łatwo i z prawdziwą przyjemnością, albowiem autor posiada zawsze w zanadrzu garście ciekawych opowiadań, anegdot i znamion charakterystycznych, ale niepodobna mieć złudzeń co do całości. Jest to rozprawa akademicka, niby doktoryzacyjna i prawdopodobnie z rozmysłu naszpikowana została materyałem rzeczowym do tego stopnia, że nie obytego z podobną lekturą, albo niezinteresującego się żywiej jej wywodami ogólnymi może zmęczyć i odstraszyć.

Zbytecznem chyba dodawać, że nie widzimy w tem wady, lecz raczej bardzo pożądaną na fejletonowym gruncie umysłowości naszej cnotę. Nie koniecznie trzeba w monografii, a więc w pracy o zakroju literacko-naukowym liczyć się z usposobieniem i stopniem przygotowania głównego korpusu czytelniczej armii. Inna jest rzecz, czy autor zrobił wszystko, co należało, dla dobra rozumowej, filozoficznej oprawy dzieła, o którą przecież świadomie się troszczy — zobaczmy.

Cezary Jelenta.

LITERATURA POLSKA.

Wincenty Kosiakiewicz. *W miasteczku.*

Kosiakiewicz niewątpliwie jest realistą. Ale talent realistyczny nie polega na odtwarzaniu szczegółów i powierzchownej osłonki zjawisk. Musi pojąć uzewnętrznić życie, jako łączny szereg zmian, a jednostkę, jako punkt zbieżny wielu stosunków i sił, musi ujawnić ukryte, nawet bezwiedne tajniki duszy ludzkiej, rozwidnić zamęt naszych pożądań i wzlotów. Cóż dał nam w ostatniej swej powieści p. Kosiakiewicz? Wyobraźnia jego przenosi nas do miasteczka, wtłoczonego w ramki stosunków zacieśnionych, mrocznych, przygniecionych bezduchem, szarugą duchową, owianych sobkostwem, brutalnemi i poziomemi namiętnościami. Ignac, młody chłopiec, ale obywatel, właściciel gruntu i domu, rymarz, słowem, osoba poważna, zakochał się namiętnie w młodej i urodziwej dziewczynie, Mańce Dobrowolskiej. Chciał ją poślubić, lecz został odrzucony. Szczęśliwym posiadaczem ręki i serca został Bronek Stolarski, właściciel murowanego domu, szewc, chłopiec przystojny i butny, ale hulaka. Zagajeniem dziejów powieściowych jest właśnie moment, poprzedzający zaślubiny kochającej się pary. W miasteczku wszystko wre i kipi, nadarza się bowiem sposobność do plotek i zabawy. Tylko w domu Pędzińskiej panuje nastrój zgrzytliwy. Dolatujące wieści o warunkach i okolicznościach zewnętrznych wesela są jakby głowniami, niecącemi wzajemne swary i urazy rodziny. Złość ciska duszą Ignaca zapamiętale. Rozżalony jest na wszystkich, czuje się osieroconym i bezsilnym. Matka i siostra nierade były takiemu zacietrzewieniu się Ignaca. Mańka, siostra, najgrawała się brutalnie z jego losu i boleści; żal jej było stracenia szczęśliwej możliwości zabawy, Dobrowolscy bowiem nie mogli prosić Pędzińskich na wesele z powodu zachowania się Ignaca. Matce także przykrem było to wyłączenie, zwłaszcza że ze starą Dobrowolską były kumami. Raziło jej stateczną naturę takie rozmiłowanie się w dziewczynie prawie bezposażnej, o której przytem ludzie gadali to i owo. Próbowała więc uspokoić i ustatkować syna. Nowożeńcy zaraz po ślubie mieli wyjechać do Warszawy. Gniewało to i martwiło Ignaca. Z pewnem rozrzewnieniem myślał o Mańce; jakby jej dobrze było, gdyby wyszła za niego, a nie za Bronka, który dobrym dla niej nie będzie, bo dla nikogo dobrym nie jest, prócz siebie. Dopiero dzięki interwencyi stryja, zamożnego i starca, przed którym jako przed spadkodawcą cała rodzina płaszczyła się, poszedł Ignac do kościoła, przygnębiony i zagniewany srodze. Podczas obrzędu zaślubin pochłaniał wzrokiem Mańkę i marzył o zemście, ale obrazy te były mętne i rozpierzchłe; sam nie bardzo wierzył w swoje zamiary. W kościele nowożeńcy sami podeszli ku niemu i nastąpiło pojednanie. Ignac zaproszony został wraz z całą rodziną na wesele. Wzgląd na Mańkę obecnie już p. Stolarską, zmiękczył na razie duszę Ignaca i usunął z niej zawziętość. Przeświadczony był tylko, że choćby sobie sto razy powiedział: „jak nie, to nie,“ nic mu to nie pomoże; zawsze ją kochać będzie, bo musi. Martwiło go i oburzyło obojętne zachowanie się gości. Postanowił jednak zostać i poczekać — na kolacyę.

Jakiś czas potem ludzie wciąż gadali, że Ignac kocha się jeszcze w Mańce, nie zapomina o niej, wzdycha często i nawet popłakuje po niej, lata do Dobrowolskiej, aby wieści jakich o losie jej usłyszeć, a nawet przebąkuje o wycieczce do Warszawy. Pomimo to matka postanowiła ożenić syna, a wybór jej padł na młodą, siedemnastoletnią dziewczynę, Wiktę Kowalską. Obie matki postanowiły społem działać, wiedząc, co to znaczy moc wpływu, ufne w swą zręczność i umiejętność. Rozpoczęły się tedy długie targi o wyposażenie Wikty, prowadzone z całą dyplomacyą i sprytem mieszczek chytrych i przemyślnych. Zwyciężyła wreszcie Pędzińska, wyłudziła znaczne bardzo ustępstwa na rzecz Wikty. Dziewczyna z zadziwieniem wielkiem przyjęła wiadomość o małżeństwie z Ignacem, zaskoczyło to ją całkiem znienacka, nie wybiegała bowiem marzeniami jeszcze ku miłości. I on pierwotnie propozycyę tę odrzucił w sposób stanowczy i bezwzględny. Następnie oswoił się jednak z tą myślą.

Wielkie zamieszanie i nadzieje niespokojne wywołała nagła i bardzo niebezpieczna choroba Pędzińskiego, starego bogacza. Krewni jego, Pędzińscy i Marczyńscy zajęły się gorliwie starym, doglądali go troskliwie i bezustannie. Czyhając na spadek, obrzucali się nawzajem obelgami i podejrzeniami. Kto chce poznać piekło intryg drobnomieszczańskich, rozbestwienia moralnego, grube, niczem nieosłonięte hołdowanie bożkowi interesu, niech przeczyta cały ten ustęp, skreślony długo, szaro i z wielką sumiennością kronikarską. Stary wyzdrowiał, choroba złamała jednak jego dumę okrutną, w sobie zamkniętą, nieczułą na wszystko. Okazywał wdzięczność za starania, dziękował za troskliwość i pieczę. Obie rodziny darzył równą łaskawością, chętnie przychodził na poczęstunek, wysłuchiwał żalów i utyskiwań. Wreszcie gruchnęła wieść, że zrobił testament. Pędzińscy byli przekonani, że spadek im się dostanie niepodzielnie. Marczyńscy byli również tego mniemania. Zdwoiły więc obie wrogie rodziny zapobiegliwość i usłużność względem starego. Kochanie Ignaca zacierało się powoli, bez jego wiedzy, ani buchało mu już tak ogniem w piersi, ani tak żywo, jak dawniej, ani tak często. Zajęcie rozrywały mu czas i myśli. Zajmowało go bardzo postępowanie Kowalskiej, gniewał jej upór i niechęć oddania wszystkiego córce. Mimowiednie wciągnięty został w odmęt tych spraw i zabiegów, nie myśląc jeszcze o poślubieniu Wikty. Wreszcie przystał na małżeństwo z nią, ujął go znaczny stosunkowo posag i uległość, charakter cichy i potulny. Nagły przyjazd Mańki Stolarskiej omal nie rozchwiał tych zamiarów. Wszystko jednak uwieńczone zostało pomyślnym skutkiem. Ignac dobrym był mężem, lubo żonę trzymał w karbach władzy despotycznej. Ta zaś słuchała słów jego, jak ewangielii i nie przypuszczała, aby można było zrobić inaczej, aniżeli on powiedział. Kiedy obdarzyła go synem, kontent był wielce. Szorstki dla niej zawsze, teraz stał się czułym. Podchodził

do łóżka, całował jej ręce, pieścił ją słowami. Wikta sądziła, że zjednała go sobie na zawsze, że zostali zespoleni węzłem nierozerwalnym. Wtem spadła wiadomość o zgonie Stolarskiego i o przybyciu Mańki do rodzimego gniazda. Miłość, która nie wygasła w duszy Ignaca, lecz tlała ciągle w ukryciu, rozgorzała na nowo. Dusza poczęła się w nim szarpać. Realna to była natura — powiada autor — a w roku ostatnim dojrzała i zrywająca z okresem młodzieńczości... Ta dojrzałość właśnie teraz malowała jego położenie takiem, jakiem jest — bez wyjścia. I to własną ręką wyjście owo zamurował, zabił. Począł często przesiadywać u Mańki, wyświadczał jej rozmaite przysługi i otworzył kredyt w sklepiku. Ona postanowiła go usidlić i wyłudzić 700 złotych na założenie sklepu. To całkiem wytrzeźwiło Ignaca. Powrócił stanowczo już do wiary małżeńskiej i ugrzązł całkiem w lepiance spraw i uczuć rodzinnych. Śmierć starego i rozproszona adzieja spadku (Pędziński przekazał cały majątek na rzecz kościoła), pogłębiły tylko ten jego nastrój.

W. Kosiakiewicz lubuje się w kreśleniu życia drobnomieszczańskiego, z upodobaniem wysnuwa szarą jego przędzę zjawisk i stosunków. Wszakże o optymizm, o sielankowy idealizm bynajmniej posądzić go nie można. Jest on drobiazgowym i skrzętnym kronikarzem przedmiotowym. Zamknięty w skorupie objektywności, rysuje świat bez osłonek, bez ubarwienia artystycznego. Z takiej skorupy daleko i głęboko widzieć trudno. To też p. K. czynnym jest tylko i bystrym w zakresie spraw i uczuć pospolitych, zaledwie wznosząc się ponad mrowisko codziennych wydarzeń. Właśnie zadaniem talentu artystycznego jest zwrócić uwagę czytelnika na pozornie małoważne zjawiska życiowe, powiązać je nicią odczuwalności z całym światem ludzkich dążeń i popędów, ale światem należycie uplastycznionym i pogłębionym. Moc artystyczna p. Kosiakiewicza w tym kierunku nie daleko sięga; niektóre ustępy „W miasteczku“ mają charakter pomimowoli autora zbliżony do karykatury. Postać Ignaca dobrze i trafnie jest odczuta, ale nie uwypukla się należycie. Czytelnik nie został całkowicie zaznajomiony z wnętrzem jego duszy. Autor oprowadza czytelnika po jej skrętach ręką obserwatora dokładnego, ale niezdarnego. Pozostałe osoby małą mają wartość artystyczną. Powłoka pstra i banalna codzienności trywialnej nadto więzi uwagę autora, a jego zdolności malarskie są bardzo mierne.

Br. Ch.

Z ESTRADY I ZE SCENY.

Jak potężny wpływ może mieć na tłumy suggestya, tego dowodem artysta, którego występy powtarzają się w mieście naszem mniej więcej corocznie. Przed kilku laty pisma nasze zrobiły Reisenauera drugim Lisztem: zdawało się, czytając szereg hymnów pochwalnych, na cześć jego wygłaszanych, iż rozpoczyna on nową erę muzyczną, nie znajdując między współczesnymi równego sobie geniuszu. Tłum, omamiony wykrzyknikami sprawozdawców, cisnął się, jak na pielgrzymkę do ziemi świętej, na koncerty „niezrównanego mistrza tonów“ i bił brawo, bisował każdy pasaż, „genialny wirtuoz“ zaś, jak gdyby drwiąc z publiczności lub maniąc ją na równi z krytykami, niby w potajemnej zmowie z nimi, rzucał jej okruchy talentu swego, drobne bawidełka fortepianowe żadnej lub lichej wartości, które oszołomieni słuchacze brali za perły mistrzowstwa pod względem twórczości i wykonania.

Minęło odtąd czasu wiele: artysta, przerzucany przez impresarya z krańca na kraniec świata, nie miał czasu rozwinąć, ani wykształcić swego talentu; pisma nasze, którym nie wypada cofać się z raz obranego stanowiska, wciąż pełne uniesień dla mistrza, obniżają wszakże skalę ich coroczenie o ton jeden: zamiast „genialnego, niezrównanego, potężną indywidualnością obdarzonego króla fortepianów,“ p. R. jest już dzisiaj tylko „znakomitym wirtuozem, osobistością, która może mieć przyjaciół i nieprzyjaciół swoich, z którą wszakże liczyć się trzeba.“ Tłum, odczuwając coraz mniejszy napór suggestyi, przyjmuje artystę coraz chłodniej; zeszłego roku jeszcze *przepełniał* salę koncertową, w tym roku zebrał się dla posłuchania „wielkiego ucznia Liszta“ *licznie*, za rok zbierze się *dosyć* licznie, za dwa lata zajmie może zaledwie połowę krzeseł numerowanych i nienumerowanych, za trzy, cztery — ku zgrozie i oburzeniu „weteranów sztuki“ sala będzie świeciła pustkami.

Podobny upadek gwiazd, tworzonych sztucznie, widujemy niejednokrotnie. Tym razem szkoda, rzeczywiście, prawdziwie potężnego talentu, marniejącego od pierwszej chwili, w której dał nam się słyszeć. Olbrzymia technika Reisenauera, rozwinięta jeszcze prawdopodobnie za czasów studyów pierwotnych, mogłaby go postawić w rzędzie najpierwszych pianistów, niepoparta wszakże pracą i logiką, doprowadza do szałów fortepianowych, jakich dowodem „Fantazya z Don Juana,“ wykonana na ostatnim jego koncercie w Tow. Muzycznem. Struny pękały pod palcami „mistrza“, instrument uginał się i jęczał; powódź tonów, dzika, nieokiełznana, zdumiewała i ogłuszała. Nie tego jednak wymagamy od artysty: technika winna być tylko środkiem dla wypowiedzenia czystej, nieskażonej myśli muzycznej, którą p. R., porwany prądem samowoli, nie przywykły do trzeźwej refleksyi, zaciera chwilami całkowicie.

Myśl, uczucie i technika, skojarzone ze sobą logicznie, tworzą dopiero arcydzieła pod względem wykonania: p. R. ma olbrzymie zasoby i uczuć, i myśli, i techniki, nie chce jednak — trudno bowiem przypuścić, aby nie umiał — spoić ich z sobą za pomocą logiki i opracowania: stąd luki, jakie pozostawia w pamięci słuchacza każdy większy zagrany przez niego utwór. W drobiazgach usiłuje on naśladować Alfreda Grünfelda, skupiającego niekiedy uwagę całego audytoryum na końcu piątego swego palca, którym ton pierwszego lepszego bawidełka muzycznego przetrzyma tak niespodziewanie rzutem pełnym takiego wdzięku i finezyi, na jaki przed nim, ani po nim nie zdobył się żaden ze współczesnych fortepianistów. P. R., zamiast lekkości, wdzięku i finezyi, posiada wielką prostotę i cudowne, niezrównane *piano*, którem brawuje jednak często nadmiernie, rozwlekając kompozycye do niemożliwości. Piano to jest wyrazem potęgi i siły — jak twierdzi Leszetycki, wychowawca całego szeregu wirtuozów obecnej epoki: przynosi ono zaszczyt p. R., lecz i najsmaczniejszy kąsek, spożyty w zbyt wielkiej ilości, sprowadza mdłość w końcu.

Reisenauer, jak kapryśna kobieta, rządzi się wrażeniami chwili: temperament, rwąc go za sobą, jak pęd górskiego potoku, nie pozwala mu nigdy wykonać jednego utworu po dwakroć z rzędu jednakowo: stąd omamienie, jakiemu łatwo mogli podledz krytycy, słyszący go po raz pierwszy w chwili, gdy siadł do fortepianu w „usposobieniu“, stąd też rozczarowanie tych, którzy, nie podlegając łatwo suggestyi, śledzili bacznie grę jego wówczas, kiedy byłby wolał — kto wie — może tłuc kamienie, aniżeli koncertować.

Fale zachwytu spłynęły na cześć młodej koncertantki, p. Jezierskiej, występującej po raz pierwszy publicznie. P. J. ma czysty, dźwięczny sopran, śpiewa jednak często przez nos i przez zaciśnięte gardło, na co należałoby zwrócić uwagę.

* * *

Po kilkomiesięcznym pobycie w Gmunden u Lukki odwiedziła miasto nasze powtórnie p. Heller. Artystka straciła połowę olbrzymiego, metalicznego swego głosu, który zaparł się jakoby w jej piersi raptownie, zyskała natomiast na zaokrągleniu go, wyrównaniu, na wytwornej i niepokalanie czystej emisyi, na ciepłym kolorycie, którego brakowało jej dawniej. Carmen p. H. należała do tych misternych, szlachetnie pojętych i z wysokiem poczuciem artyzmu odtworzonych postaci, które na pierwszorzędnych scenach znaleźć mogą poklask gorący.

Talent primadonny dojrzał, wyrobił się, jak gdyby od ostatniego jej występu u nas do pierwszego dzieliło ją nie miesięcy kilka, lecz długich lat parę.

Selika.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XVIII.

Chicago, wystawa.

Morze pociąga mnie ku sobie jeszcze czemś innem. Łodzie leżą rozciągnięte w różnych działach Gmachu rybackiego. Jakżeż są one wątłe! Cóż znaczy ta marna skorupa, kiedy przy mocniejszym podmuchu wiatrów bałwany poczną się piętrzyć po nad bałwanami, a wybrzeżny plusk wydobywać z siebie coraz mocniejsze tony? A jednak w takiej skorupce człowiek zapuszcza się daleko w przestwory wodnej pustyni! Jak życie rybaka jest niepewnem i zdradliwem! Ileż niepokoju wnosi ono w łono rodziny, kiedy jej członek jest na połowie a toń jęła nadymać się i parskać! Osada rybacka Gloucester, licząca obecnie wszystkiego 25 tysięcy mieszkańców, w ciągu dwudziestu lat utraciła 2,100 swoich obywateli. Znaleźli oni grób wśród morskiego żywiołu — w najsilniejszej i najzdrowszej porze życia. Z ciekawością przyglądam się portretom rybaków morskich. Twarz pełna energii, która tryska z każdej fałdy na czole, przemawia z każdego rysu twarzy. A obok energii spokój, pewność i wiara w własne siły! Nadaremnie poszukiwalibyśmy takiej silnej indywidualności wśród bulwarowej ciżby Paryża. Dziesięć wieków osiadłości starło z rybaków dawną krwiożerczość Wikingów, ale nie zmiotło energii, nie nadłamało hartu. Człowiek tam żyje, bogaty w własną jaźń — nie jako produkt fabryki społecznej, w swym warsztacie urabiającej wszystko według tego samego kopyta, ale jako istota, która w samej sobie się przetrawiła, posiada własną — mniejsza czy racyonalną — filozofię życia. I nie dziw, iż w miarę jak szablonowość staje się coraz ekliwszą — tutaj, w wielkiej amerykańskiej rzeczypospolitej uśmiechy, ruchy, ubiory, wszystko odlało się w ten sam model, a indywidualność jest bliską zaniku — zamiera puls życia duchowego i zamożne złotem kraje Europy sięgają do ubogiej Skandynawii po utwory oryginalnego ducha.

* * *

W Massachusetsie znajduje się rybacka osada Gloucester. Z ojców praojców żyje ona z połowu ryb. W roku przeszłym wysłała na rynki aż półtorasta milionów tego produktu. Każde tętno życia zrosło się w niej z zdradzieckim żywiołem, malec od dziecka przyzwyczaja się widzieć w oceanie drugą ojczyznę, starzec, kiedy siły go opuściły, spędza dnie, przyglądając się ukochanej toni, która służy za cmentarzysko dla wielu bliskich mu istot. Wszak rocznie ginie tam jakaś setka gloucesterczyków!

Gloucester wystawił cały pawilonik w Gmachu rybackim. Na pokaz wysłał modele skoonerów za dwa z górą wieki czasu, przedstawił dzisiejszą technikę suszenia i pakowania ryb, i, co najważniejsza, na kolumnach, otaczających pawilon, opowiedział swoje dzieje, dzisiejszy stan zdrowotności, stosunki ekonomiczne. Bastian marzy o statystyce duszy społecznej, a w ciągu dalszym o jej psychologii. Gloucester dał właśnie coś podobnego. Jego ludność, żyjąca z morza, przyzwyczajona do ryku burzy i podrygów wodnego żywiołu, odznacza się niezwykłem zdrowiem. Kiedy w całym stanie śmiertelność wynosi 19,66, w rybackiej mieścinie spada do 17 — rozumie się, ofiar, które morze pochłonęło, nie bierzemy pod uwagę. Liczba chorób w mieście i w całym stanie ma się do siebie wzajemnie jak 87 i 100. A w tym zdrowem ciele ludzkiem mieszka podobnie silna dusza — wogóle, nie wierzą w bohaterstwo zdechlaków, o ile oni są histerykami, w chwili podrażnienia rozporządzającymi napiętą, ale krótkotrwałą energią. Na jednym ze słupów wypisano opowieść o historycznych czynach gloucesterczyków. Kilka szczegółów z tej tablicy. Kiedy sąsiednie plemiona czerwonoskóre w r. 1625 zagrażały koloniom białych najezdników, trzecia część męskiej ludności pośpieszyła do szeregów. Podczas walki z metropolią 1775—1782 miasto wysłało kilka kompanij; 225 służyło w armii lądowej, a mnóstwo w marynarce lub na okrętach, uzbrojonych przez osoby prywatne. W tym przeciągu zginęło czterystu mężczyzn i piąta część ludności po wojnie żyła z publicznej zapomogi — żony straciły mężów, dzieci — ojców. Wojna o oswobodzenie niewolników powołała z Gloucesteru 1504 mężczyzn. Dzisiaj miasto rybackie posiada szkół bez liku, rybacy mieszkają w półwillach, mają biblioteki, którym pozazdrościć może niejedno stotysięczne miasto europejskie, ale po dawnemu żyje z morza, puszcza się na połowy, znosi mozoły.

Stosunki ekonomiczne przedstawiają widok równie ciekawy. Są one szczątkiem dalekiej, zamierzchłej przeszłości, który ostał się wszystkim podmuchom rozwojowego huraganu. Kooperacya gloucesterska wyrosła z staroczesnej articli, którą wszędzie spotykamy na rozświcie wolnej konkurencyi. Stare księgi z r. 1624 opowiadają o jej istnieniu językiem prostym, bez uniesień, bo nie nastały jeszcze czasy, aby mędrcy dziwili się, że nie zawsze i nie wszędzie człowiek dla człowieka jest wilkiem. Załoga rybacka wyruszyła na cudzym statku, a co zarobiła na morzu, dzieliła na 3 równe części i oddawała w naturze. Jedną brał właściciel okrętu, który nadto dostarczał majtków; drugą dostawali kupcy wzamian za liny, sól i inne sprzęty, wreszcie trzecia przypadała rybakom i szła pomiędzy nich do podziału. Dwieście z górą lat uczyniło w tym zwyczaju niewielki wyłom. Jedynie, ponieważ koszta zbudowania i utrzymania skoonera podniosły się, właściciel pobiera połowę dobytku. Resztę sprzedaje załoga i po odtrąceniu wspólnych kosztów dzieli pomiędzy sobą proporcyonalnie do wysiłku, włożonego przez pojedynczych członków. Staroczesna solidarność oparła się zębom wzajemnej walki konkurencyjnej, ale czy długo będzie się jeszcze trzymała, a raczej czy będzie i nadal, jak była przez wieki, podstawą zamożności rybackiej? Że dzielna i zahartowana indywidualność rybacka uporczywie będzie wierną starodawnym zwyczajom, rzecz pewna; ale równie nie mam najmniejszej wątpliwości, że zamożności jej i dobrobytowi zagraża niebezpieczeństwo ze strony pośredników rynkowych. Minęły pradziadowskie czasy, kiedy stosunki sprzedaży połowu odznaczały się niezmierną prostotą. Obecnie przybrały one inną fizyognomię. Odpowiednio do potężnych sił, rządzących rynkiem, ukazały się podobnie wielkie firmy, pośredniczące pomiędzy rybakiem i kundmanem, obdarzone wilczym apetytem na cudzą krwawicę i silnymi pazurami. Niechaj wzrośnie jeszcze konkurencya różnych części globu ziemskiego w zakresie rybactwa, a wzrasta ona szybko, niech w ciągu dalszym stworzy kryzysy i nadprodukcyę, a los rybaków będzie rozstrzygnięty. Burze morskie nie zjadły hartu ich duszy, owszem jeszcze ją wzmocniły; za to pożre go niby tak cicha, tak pokojowa logika ekonomicznej ewolucyi.

* * *

Najrozmaitsze zakątki globu ziemskiego wystąpiły z modelami i fotografiami przedsiębiorstw i oprawiania ryb. Kanada dała wzór całej osady, założonej przez akcyjny kapitał — z suszarniami, wędzarniami, olejarniami. Boston wystąpił z modelami swoich fabryk. Ale zwłaszcza popisało się wybrzeże Oceanu Sp., nasłało bowiem bez liku widoków swoich zakładów. W pałacu rybackim wielki kapitał obchodzi świątecznie swoje powodzenie w dziedzinie rybołówstwa. Nieznane wzory techniki dojrzewają, a dojrzewaniem swojem zwiastują nową erą. Australia i wyspy norweskie, wody Oregonu i zatoki hudsońskiej — wszędzie sadowią się przedstawiciele wielkiej industryi, wznoszą w pustkowiach, dotychczas nawiedzanych jedynie przez śnieżne huragany i zamieszkałych przez dzikie ptactwo, mury fabryczne i wille dla siebie, wysyłają w świat setki tysięcy blaszanek, użytkują z każdego odpadku, dawniej rzucanego do kąta. Ciekawy to widok obserwować ów najazd techniki do zakresu ludzkiej działalności, dotychczas zostającej na uboczu. A wraz z tem najściem zjawiają się nieznane potrzeby. Powstają specyalne szkoły rybackie. Sama nauka, jak zwykle bywa, rozwija się silnie pod tym podmuchem kapitału. Ostatnie dziesięciolecie więcej zrobiło dla poznania fauny morskiej aniżeli kilka przedtem. Świeżo opowiadano mi o ciekawym fakcie. Mianowicie sprawozdania o uczonej działalności uniwersytetu w S. Francisco przedstawiają niezwykły widok. Profesorowie, wykładający różne nauki biologiczne, nic innego nie zrobili, prócz odkrycia kilku nieznanych ryb, to samo czynią matematycy i prawnicy... Tak potężnym jest potok potrzeb życiowych. Państwa powołują do życia departamenty rybackie z stacyami doświadczalnemi i czynią pierwsze próby okiełzania rabunku, popełnianego na żywiole morskim.

Pałac rybacki może niejednego odstraszył stosami pudełek i odorem tranu, ale bądź co bądź stanowi jeden z ciekawszych działów wystawy, ciekawszy, aniżeli podejrzane tańce perskich szansonistek lub cuda w rodzaju mamutowego młyna dyabelskiego.

16 sierpnia, Chicago, wystawa.

Cóż za silny kontrast!

Liga pokoju — niedołężna, jak wszystko co nie rozumie ducha czasu, bo i hasła postępu winny dzisiaj brzmieć w zgiełku oręża — przytuliła się w marnym pokoiku na górnej galeryi; broszurki na stoliku a portrety ze ściany przemawiają do przechodniów nieśmiało i trwożliwie; książka ozdobiona dewizą: „potępiam bratobójczą wojnę!", w której ten i ów zapisuje swoje nazwisko, posiada także znikomą tuszę! Nawet sekretarz, siedzący przy stole, ma zalęknioną minę, kiedy podchodzi do kogoś, rozglądającego się po pawiloniku i prosi o wpisanie się do książki.

U Kruppa inaczej — inaczej! Olbrzymi gmach, a na nich buńczucznie powiewają różne godła, towarzyszące bóstwom pożogi i mordu. Tłum ludzki przepływa szerokim potokiem, niekiedy trudno dotłoczyć się do wnętrza. Księga do zapisywania gości jest grubym foliałem, do którego cisną się dobrowolnie gromady. A budynek w łonie swojem kryje potwory, jakie chwila obecna stworzyła dla posiewu śmierci. Bo zaprawdę są to potwory! Wobec tych dział, przez lufy których człowiek zdołałby się przesunąć, a których paszczęki posiadają po kilka sążni długości, zwykłe armaty są bezsilnym drobiazgiem. Do podawania pocisków trzeba było urządzić specyalną maszyneryę, bo siła ludzka ich nie podniosłaby. Po nad potworami sterczy pokrycie z pomostami, drabinami, schodami — istotne rusztowanie z żelaza. A tam wdłuż ściany ustawiono dowody, z jaką mocą uderzają wyrzucone z tych paszczęk pociski. Rzędem sterczą żelazne deski, co najmniej stopowej szerokości. A jednak pocisk je przedziurawia, masa żelazna pod tem szalonem uderzeniem gnie się i żłobi niby plastyczna glina. Mordem, pożogą, nędzą wieje od tych żelaznych olbrzymów!

A ta rzeczywistość wygląda tak potężnie, wszechwładnie, że wobec niej milkną wszystkie głosy — przerażone, i godła z pawiloniku ligi pokoju, zdaje się, są niby zabawką dziecka. Złudzenie to doznaje spotęgowania, kiedy rzucimy okiem na dalszą ścianę. Tam stoi model chałupki, w której praojciec Kruppów mieszkał przed pół wiekiem, na ścianie rozwieszono pałace wnuków... Niechaj liga pokoju poszczyci się czemś podobnem!

Militaryzm pruski jest wszechwładnym Molochem! Taki okrzyk wydobywa się z gardzieli tych potworów, których przeznaczeniem jest wypluwać z siebie pociski śmierci, z tych przedziurawionych sztab żelaza, z tego przepychu, z jakim urządzono pawilon, z tej nawet pyszałkowatej buty, z jaką lokaj-marynarz raczy podawać pióro do zapisania się przechodniom. Okrzyk ten doznaje poświadczenia ze strony księgi, nie wiem której z kolei, z nawiskami bałwochwalców, wnoszących swoje imię jako ofiarę Molochowi wojny (spostrzegłem, że niemcy amerykańscy ze szczególną dumą zapisują swoje nazwiska, wszak to *ich* Krupp wyhodował takie potwory zniszczenia!). Nawet strumyk wody, który po skałach spływa i szemrze, nie wie, co począć w tem towarzystwie, aż w końcu swój głos kładzie na fali okrzyku i zlewa się z tryumfalnym tonem, tutaj panującym. A wśród tego odgłosu przepływa różnobarwny potok mężczyzn i kobiet, starców i dzieci, z zachwytem spoglądają na paszczęki morderczych narzędzi i sunie dalej, rad że widział wielkiego Kruppa.

L. K.

PAMIĘTNIK.

Dokonanie dzieła.

Towarzystwo kredytowe ziemskie ogłasza, że d. 2 listopada przystępuje do skonwertowania reszty Listów zastawnych (w sumie 18,332,100) z 5% na 4½%. Od tej więc daty giną jego ostatnie pięcioprocentowe obligi, a za nimi biegną w przeszłość ostatnie smutne westchnienia kapitalistów, którzy u nas

żyli się z „prawnością“ pięciu od sta. Dotrzymując swej obietnicy i groźby, wyrażonej przy pierwszej konwersyi, Towarzystwo dopłaca obecnie każdemu posiadaczowi Listu tylko rs. 1 kop. 25 do ceny nominalnej. Ci więc, którzy stawili się na pierwsze jego wezwanie, zostali obdarzeni nieco szczodrzej. Naturalnie kto nie dopełni konwersyi, pozbawi wartości swój papier, który po 20 listopada musi ustąpić z obiegu. Nie ulega wątpliwości, że po tym terminie pozostanie pewna liczba Listów nieskonwertowanych: będą to mianowicie wszystkie zniszczone, spalone, ukryte lub przechowywane przez prostaczków, niewiedzących nic o burzach i zmianach meteorologii pieniężnej. Ciekawa rzecz, ile też okaże się takich resztek, które długo spoczywać będą jako kapitał martwy w piwnicach Towarzystwa.

Przy sposobności zauważyć należy, iż obecna jego operacya dokonywa się w warunkach nieco gorszych, niż poprzednia, gdyż rynek pieniężny cierpi ciągle na brak gotówki, skutkiem czego stopa procentowa podniosła się. Podczas gdy przed pół rokiem wypożyczano na hipoteki miejskie po $5\frac{1}{2}$ od sta, dziś kapitał jest droższy, a nawet marzy o powrocie „dobrych dawnych czasów.“ Jest to tylko piękny sen, w każdym jednak razie $4\frac{1}{2}$ procentowy kupon Listów zastawnych przestał być dochodem „przyzwoitym.“

Halle.

Ażeby dla nikogo ta wzmianka nie była niezrozumiałą, objaśniamy, że tem mianem zagranica ochrzciła wielkie szklanno-żelazne budynki, służące do sprzedaży wszelkich przedmiotów codziennego użytku, a zwłaszcza artykułów spożywczych. Otóż od lat kilku tłucze się po prasie, jak Marek po piekle, projekt założenia takiej halli, czy takich hall. Najwięcej zwolenników miał plac koszar Mirowskich, wszakże wskazywano również inne miejsca. Umierająca i zmartwychwstająca ta sprawa odżyła znowu w polemice (*Kur. warsz.*) między gronem handlarzów i kupców, dowodzących konieczności i pożytku hall, a bezimiennym ich przeciwnikiem, który ganiąc dotychczasowe projekty i obliczając z nich straty dla miasta, dowodzi, że takie targowisko musiałoby być zbudowane gdzieś blizko kolei. Głos p. W. Z. ściągnął gromy ze strony interesowanych, a wywołana tym sporem burza prawdopodobnie długo jeszcze huczeć będzie. Wmieszały się już do niej namiętności, posądzenia, wymysły itp. Nam się zdaje, że możnaby tu zapytać z Mefistem: o co tyle hałasu? Hall nie ma poprostu dlatego, że jeszcze do nich nie wziął się kapitał obcy. Nasz odważy się na listy zastawne, akcye bankowe, kamienice, folwarki, fabryki, ale na milionowe przedsiębiorstwo nigdy. To przechodzi naszą śmiałość, siły i zdolności. Ani jedno tego rodzaju przedsiębiorstwo nie powstało u nas nigdy pieniędzmi wyłącznie krajowemi, a jeżeli jakieś nowe zarysuje się na tle potrzeb miasta lub społeczeństwa, jak bulwary, pasaże, zużytkowanie placów po szpitalu Dzieciątka Jezus, halle targowe itd. — to my spełnimy swój obowiązek: nagadamy się, nakłócimy i napiszemy do syta, ale każdy z nas widzi i czuje, że dopiero wtedy będzie z tej mąki chleb, gdy go weźmie w swe ręce piekarz zagraniczny. Od tej chwili słowo staje się ciałem, a my zaczynamy akt drugi dąsów: mruczenie na belgijsko-jezuickie tramwaje lub dessauskie towarzystwo gazowe. Tak będzie i z hallami — oby to proroctwo było fałszywe!

Nowe domy.

Ktoś, niewątpliwie znający się na rzeczy, wyszydza stale (w *Kuryerze warszawskim*) budownictwo nasze i zwłaszcza nowe domy poddaje urągającej krytyce. W większości budowli nie dostrzega on ani stylu, ani gustu, ani logiki, oskarża architektów o gwałcenie sztuki dla dogodzenia interesowi przedsiębiorców, wykazuje fuszerkę i niedbalstwo. W tych zarzutach jest wiele słuszności i tylko cieszyć się trzeba, że po tylu latach najzupełniejszego braku jakiejkolwiek krytyki i kontroli estetycznej nareszcie znalazł się ktoś, kto ocenia domy warszawskie ze stanowiska artystycznego. Jest to dziwny objaw gazeciarskiego konwenansu, dający się wytłomaczyć tylko koleżeńskiem przecenianiem rzeczy i osób, że najbzdurniejsza komedyjka lub rozprawka rozbierana bywa w pismach bardzo skrupulatnie, a budowle miejskie, również twory sztuki, przeznaczone na długie trwanie, nie zwracają na siebie prawie żadnej uwagi. Jak kto chce— o ile uczyni zadość przepisom administracyjnym—tak sobie wznosi dom, który, bądź co bądź, jest zawsze rzeczą, wystawioną na widok publiczny. Nareszcie jednostajność pomysłów, a raczej rutyny, ma być urozmaicona przynajmniej pod względem praktycznym: według tegoż *Kuryera* w wydziale technicznym warszawskiego rządu gubernialnego złożono plan domu, zawierającego 16 lokali po 4 pokoje *równej* wielkości. Z jakąż rozpaczą i zgrozą jękną nasze ogromne salony, w których nikt nie mieszka, i nasze maleńkie sypialnie, w których gnieżdżą się całe rodziny! Nie dość tego. Kuchnie pomieszczone będą w suterenach, połączonych ze wszystkiemi piętrami za pomocą wind. Ponieważ jednak bez salonu, tańcujących herbatek, skaczących kolacyj i podrygujących buterszników obejść się nie możemy, więc na dole owego błogosławionego domu ma być urządzona sala do zabaw, którą każdy lokator będzie mógł sobie wynająć. Prędzej, prędzej, panowie przedsiębiorcy budujcie ten szczęśliwy gmach, w którym wybrani, co się do niego dostaną, będą mieli obszerne pokoje do sypiania i pracy, swędy kuchenne w podziemiu, a piekielne hałasy karnawałowe nie nad sobą, ale pod sobą. Myśląc o tem, aż chęć bierze uśmiechnąć się do przyszłości.

Grzybki.

E. Lubowski drukuje w jednym z dzienników szereg artykułów o teatrze. Między innymi mówi on o „grzybkach“ tej instytucyi. Pod nazwami botanicznemi przedstawia rozmaite okazy szkodników, ale chociaż je maluje dość jaskrawemi barwami, pozostają one znane i zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych. Publiczność, a wraz z nią i my nie wiemy, kogo należy domyślać się pod *Boletus sanguineus*, *luridus* lub *migrans*. Natomiast *Echo muzyczne i teatralne* wystawiło koszyk grzybków znanych. Są to fotografie aktorek teatrów warszawskich. Dreszcz śmiertelny przebiega widza, patrząc na tę galeryę jakichś okropnych twarzy, a jeśli pomyślimy, że to są czarujące bohaterki dramatów i komedyj oraz przedmioty gorących uwielbień, ogarnia nas śmiech szalony. Nie, to niemożliwe. Chociaż Poseł Prawdy zakwestyonował urodę naszych cór Melpomeny i pewnem zboczeniem wytłomaczył składane hołdy ich wdziękom, jest bezwzględnem niepodobieństwem, ażeby one tak wyglądały, jak je wyobraziło *Echo*. Przynajmniej niektóre z nich muszą być karykaturalnie zeszpecone, a wszystkie powinnyby wystąpić z uzasadnioną pretensyą do tego pisma. Niejeden z troskliwych mężów, zobaczywszy ten garnitur, powie do swej młodej żony: Nie pokażę ci Maniu, czasem można się zapatrzeć... Powtarzamy, nasze artystki teatralne nie powinny pozwolić na taką dyfamacyę estetyczną.

Jeden z wielu.

Śród czeladzi dziennikarskiej znajdują się osobniki różnego rodzaju: pozbawieni wszelkiego talentu literackiego robotnicy, wynagradzający nieudolność sumiennością, łowcy nowin, niecofający się przed żadnem ich źródłem, knajpiarze i wycieruchy życia, przebywający w najciemniejszych jego kątach, rajfurzy, ułatwiający rozpustnikom geszeftu niemoralne stosunki z prasą itp. W tej gromadce, spełniającej najniższe posługi, a głównie dostarczającej świeżych wiadomości, spotkać można nieraz ludzi z rzeczywistym talentem, zmarnowanych niszczącą służbą. Należał do nich świeżo zmarły A. Messing. Człowiek ten pisywał wszystko: nowele, poezye, sprawozdania rozmaitej treści, a przedewszystkiem znosił i obrabiał materyał reporterski. Przeczytawszy jego zrymowaną wiadomostkę brukową, obrazek humorystyczny, fejletonik niedzielny, opis zabawy na Bielanach — trzeba było nieraz dziwić się, jak on bańce mydlanej, odrobinie powietrza, zamkniętej w bulce wodnej umiał nadać ładny kształt i ponętne barwy. Ani życie, spychające go ciągle ku dołowi i nigdy nieporywające ku górze, ani mizerne zajęcie zmiatania i zbierania pyłu ulicznego, ani bezimienność w tej robocie, odbierająca wszelką ambicyę — nic nie zdołało zabić w tym prawie nieznanym ogółowi najmicie dziennikarskim jakiegoś upodobania i uzdolnienia artystycznego Mógł przecie smarować niedbale swoje artykuliki, jak je smaruje tylu reporterów— nie, on ozłacał je blaskiem tego promyka sztuki, który z jego duszy przeświecał. Messyng zeszedł ze świata, nic pozostawiwszy po sobie pamiątki w literaturze, wspominamy wszakże o nim jako o jednym z wielu tych, którzy giną w rozpalonem wnętrzu Molocha prasy. Ktoś zauważył, że wielki talent nigdy się nie zmarnuje, a takie zdolnostki przechodzą właściwą swoją kolej. Uwaga błędna: wielkiego dyamentu stępa dziennikarska nie rozbije, ale mały — na proch zetrze. A czyż ten mały mimo to nie był brylantem?

Zmartwychwstał.

Podczas gdy niektórzy czytelnicy *Tygodnika ilustrowanego* wybierali się może w dzień zaduszek złożyć wieniec na grobie Brandesa, który padł pod śmiertelnem piórem p. Jeske-Choińskiego, ów nieboszczyk, jak tylu innych, zmartwychwstał a nawet w *Revue des Deux Mondes*, położywszy na kolanie owego Thorela, (który p. J. Ch. dostarczył ostrza) — mówiąc po prostu— wytrzepał mu skórę. Wykazał bowiem, że ten jegomość bądź wcale dzieł jego nie czytał, bądź czytanych nie zrozumiał, bądź przypisał mu rzeczy całkiem zmyślone. Tak np. Thorel opowiada, że Brandes chciał przeszczepić na grunt duński idee liberalne teologa amerykańskiego, T. Parkera. „Nigdy w mojem życiu — odpowiada Brandes — nie napisałem dwu wierszy o T. Parkerze.“ Twierdzi dalej krytyk francuski, że autor *Prądów* wyszydził Biblię i głosił zasady materyalistyczne. „Studyowałem Biblię z zamiłowaniem — pisze Brandes. Ostatnie moje wykłady publiczne miały za przedmiot księgi poetyczne Starego testamentu, moje zaś ostatnie rozprawy zajmują się „stosunkiem Starego testamentu do Nowego“ i „księgą Joba.“ O Chrystusie nie mówiłem nigdy inaczej, tylko ze czcią, a o poezyi hebrajskiej z uwielbieniem. P. Thorel o tem wszystkiem nic nie wie — i to mi jest obojętne; lecz on posuwa się jeszcze dalej, nazywając mnie z tego powodu materyalistą, którym nie byłem nawet przez pięć minut mojego życia.“

Ha, nie pozostaje nic innego, tylko trzeba temu Brandesowi pozwolić jeszcze żyć choćby dla tego, ażeby pp. Thorel i Jeske-Choiński mieli kogo zabijać. Bo doprawdy przynajmniej dla naszego krytyka już niedługo zbraknie autorów żywych, a wtedy chyba on będzie musiał zwrócić swą morderczą rękę na... siebie. Dopiero literatura się rozszlocha i okryje żałobą!

SPRAWY EKONOMICZNE

KASY GÓRNICZE.

II.

Wogóle na zachodzie Europy ujawniła się wszędzie dążność do oddzielenia opieki nad chorymi od organizacyi pomocy dla inwalidów. W Belgii, słynnej z przemysłu górniczego na wielką skalę, instytucye opiekujące się losem robotników, powstały dopiero w początkach niniejszego stulecia, ale za to rozwinęły się nadzwyczaj szybko. Wkrótce po ogłoszeniu we Francyi prawa górniczego (21 kwietnia 1810 r.) zaczęły powstawać osobne kasy pomocy dla chorych (*caisses particulières de secours*), które dotrwały do ostatnich czasów niezależnie od kas towarzystw górniczych (*caisses communes de prévoyance*). Straszna śmierć 68 robotników od wybuchu gazów w kopalniach węgla 1811 r. (Horloz w obecnej prowincyi belgijskiej Littich, należącej podówczas do Francyi), była bodźcem dla rządu do zabezpieczenia bytu warstw pracujących. Śladem tej działalności jest dekret z 26 maja 1813 r. zalecający urządzenie dla kopalni węgla departamentu l'Ourth (prow. Littich) osobnej kasy dla inwalidów i wdów po nich (*caisse de prévoyance*). Inny dekret z 3-go stycznia 1813 r. zaleca przemysłowcom zaopatrywanie się w medykamenty dla robotników. Ministeryum miało prawo wkładać na właścicieli kopalni obowiązek utrzymywania lekarza na ich własny rachunek, wyłącznie dla danego zakładu. Nadto pracodawcy obowiązani byli ponosić wydatki na opiekę nad pokaleczonymi i rodzinami tych, którzy śmierć w kopalniach ponieśli. Po nowych katastrofach r. 1839 rząd belgijski szczerze się zajął losem pracowników w kopalniach. Dzięki temu, powstały kasy towarzystw górniczych w całem państwie. Od r. 1840 rząd zobowiązywał przemysłowców górniczych do przyjmowania udziału w kasie towarzystwa, ogólnej dla wszystkich zakładów górniczych danej prowincyi. Przez długi atoli czas towarzystwa górnicze nie miały za sobą siły, ujętej w prawne przepisy. Dopiero 1868 r. ogłoszono prawo, które wpłynęło na przekształcenie ustaw rzeczonych towarzystw (między r. 1871 a 1875). Przedewszystkiem zwiększono składki i nadano robotnikom więcej praw uczestniczenia w zarządzie kas. Ażeby zapewnić żywotność tym kasom, przepisy zaleciły poddawaniu corocznemu przeglądowi norm zapomogi. Stosownie więc do pomyślnego stanu przemysłu lub kryzysu, zapomogi te wzrastały albo zmniejszały się dla uniknięcia niedoboru, grożącego zagładą instytucyi.

W Austryi ruch w zakresie pomocy robotnikom, pracującym w kopalniach, również dość wcześnie się ujawnił. W wielu miejscach powstały kasy na zasadzie wzajemności i samopomocy oparte, bez żadnego współdziałania rządu. Dopiero w r. 1854 przy wydaniu nowego ogólnego prawa dla górnictwa, działalność kas (*Bruderladen, Knappschaftskassen*) — poddano osobnym przepisom, na których podstawie przemysłowcy musieli obowiązkowo tworzyć owe instytucye, robotnicy zaś — obowiązkowo należeć do towarzystw. Przytem dotyczy to nie tylko górników, ale i wogóle pracowników w zakładach, mających związek z górnictwem (np. w fabrykach metalurgicznych). Zadania kas austryackich takie same jak i niemieckich: pomoc w czasie choroby, bezpłatne leczenie i lekarstwa, zapomogi na pogrzeby, jednorazowe i dożywotne zasiłki członkom towarzystw tudzież wdowom i sierotom po nich. W większej części powyższych instytucyi z przerwaniem pracy w zakładach górniczych, czy to na własne żądanie, czy też pracodawcy, uczestnicy kas tracą wszelkie prawa. Zasługuje na uwagę ta okoliczność, iż przeważna część ustaw rzeczonych towarzystw, dla zabezpieczenia całości kapitałów wymaga, ażeby te były umieszczane w papierach państwowych, albo też w kasach oszczędnościowych. Wzbroniono zaś, dla uniknięcia ryzyka, oddawanie sum na hypotekę kopalń i wszelkich zakładów przemysłowych. W skład zarządu wchodzą robotnicy i pracodawcy.

We wszystkich ogniskach przemysłu górniczego we Francyi od dawna są znane organizacye kasowe dla pracowników. Wyraźniejszym bodźcem ku temu były wypadki i następnie ten sam dekret z r. 1813, o którym wzmiankowaliśmy w krótkim zarysie stosunków belgijskich. Kasy francuskie mniej więcej oparte na takich zasadach, jak i w innych państwach, z mniejszą wszakże jednolitością zarządu. W Anglii — urządzenia na wzór powyżej wskazanych, należą do wyjątków. Górnicy na równi z rzeszami pracowników z innych odłamów produkcyi, należą przeważnie do bardzo licznych stowarzyszeń prywatnych: pomocy, ubezpieczenia itd. W r. 1862 powstała tam kasa, mająca na celu głównie ubezpieczanie górników od nieszczęśliwych wypadków. (*The Northumberland and Durham Miners Permanent Relief Fund*). I tu, jak w Belgii i Francyi, bodźcem były wypadki nieszczęśliwe. Warunek 26 tygodni niezdatności do pracy, po upływie których dopiero wolno było korzystać z pomocy — wywołał nową, w związku atoli z poprzednią, kasę t. zw. *minor accident fund* dla udzielania zapomóg członkom w ciągu owych 26 tygodni. W miarę rozwoju przyłączono następnie kasę chorych i pogrzebową. W roku zaś 1874 powstała jeszcze kasa dla inwalidów i starców. Organizacye te wszakże nie miały zbyt wielkiego powodzenia. Pomimo to za przykładem powyższej, r. 1881 w całej Anglii liczono sześć podobnych kas górniczych, które na zjeździe specyalnym w Londynie r. 1882 weszły z sobą w blizkie stosunki. Mówiąc o urządzeniach dla zabezpieczenia bytu górnikom, musimy jeszcze wspomnieć o wydanem r. 1881 dla Bośni i Hercegowiny specyalnem prawie na zasadach przepisów górniczych niemieckich, wzamian tureckich z r. 1869 (osnutych na francuskich). Prawo to zaleca, między innemi, przemysłowcom górniczym zakładanie bądź samodzielnie, bądź wspólnie z pracownikami — towarzystw pomocy dla robotników.

Szereg powyższych danych świadczy, iż ruch w zakresie pomocy dla olbrzymich armii pracowników górniczych, silnie się rozwinął w całej Europie w ciągu bieżącego stulecia. W dobie obecnej kwestya ta ma pierwszorzędne znaczenie, między zaś szeregiem róznych urządzeń kasowych przejawia się najbardziej dążność do ubezpieczenia robotników. Wogóle zaś obok doraźnej pomocy dla chorych i pokaleczonych, silny nacisk się kładzie na zapewnienie bytu inwalidom i starcom, którzy swe siły stargali w pracy górniczej. To też obecnie i u nas utworzenie na krańcach zachodnich kasy dla chorych, jest początkiem szerszych urządzeń w tej mierze. Faktem jest już pewnym, że obok powyższej, wkrótce wejdzie w życie kasa emerytalna, której osnową opracowano ostatecznie na tegorocznym zjeździe górniczym w Warszawie. Obowiązkowy udział wezmą wszyscy robotnicy zagłębia dąbrowskiego, z wyjątkiem kopalni rudy żelaznej w pow. będzińskim i olkuskim, gdyż zakłady te, według obliczeń, bardzo krótkie mają istnienie, prędko się wyczerpią, nadto zatrudniają ludzi, uprawiających jednocześnie rolę. Mogą więc oni brać udział dowolny, jak również robotnicy i oficyaliści wszelkich fabryk górniczych. Wszyscy uczestnicy w wypadkach nieprzewidzianych otrzymają od stowarzyszenia pensyę dożywotnią; tak samo wdowy po nich, aż do powtórnego zamążpójścia; dzieci — do lat 15-tu, a nawet wyjątkowo do 20. W pewnych razach zamiast pensyi wypłacany będzie kapitał jednorazowy w stosunku 90% emerytury skapitalizowanej. W wyjątkowych wypadkach wypłacane będą pensye nadzwyczajne; areszty zaś na pensye i fundusze emerytalne nie będą przyjmowane. Każda grupa, złożona ze 100 robotników ma prawo wybierać swego przedstawiciela, otrzymującego mandat na sześć lat. Do zarządu wchodzi 12-tu członków, 6-ciu robotników i tyluż fabrykantów. Pierwsi mają prawo wyboru za pośrednictwem wybranych przez się starszych, którzy wogóle występują w charakterze przedstawicieli warstw pracujących.

Wielu przemysłowców, uznających potrzebę zabezpieczenia emerytury pracownikom, trapi jedna myśl — nadmierna liczba członków, wynikająca z niebezpieczeństwa i uciążliwości pracy. To też w osnowie projektu kasy emerytalnej zachowano wielką ostrożność, poczyniono mnóstwo zastrzeżeń, jak np. ścisła kontrola zdrowia, odpowiedzialność za rozmyślne ukrywanie wad organicznych. Przytem ci, którzy tracą zdrowie nie przez wypadki, lecz przez wyczerpanie sił pracą uciążliwą, a takich jest procent olbrzymi, mają mniejsze prawa emerytalne. Już paragraf, zastrzegający przyjmowanie nie starszych nad 45 lat wieku, wskazuje w jakim wieku uczestnik może być ciężarem dla kasy. Wszystkie tego rodzaju oszańcowania każą przypuszczać, że liczba członków kasy emerytalnej nie będzie nadmierną, a zatem i jej fundusze nie ulegną wyczerpaniu a nawet nadwątleniu. Szkoda tylko, że takie zastrzeżenia są połączone z krzywdą w pewnej mierze dla samych pracowników. Ale nie traćmy nadziei, że niektóre paragrafy ustawy przed wprowadzeniem w życie ulegną pożądanym zmianom i wreszcie nie zapominajmy, że jest to pierwsza u nas organizacya tego rodzaju, która w miarę doświadczenia może się doskonalić w przyszłości.

Zen. Piet.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Cukrownicy i hodowcy buraków. Głośna przed rokiem sprawa uregulowania stosunku między wytwórcami cukru a dostarczycielami materyałów surowych w Królestwie Polskiem, odbiła się echem śród interesowanych w prowincyach południowo-zachodnich. I stamtąd dochodzą takie same utyskiwania na wyzysk ze strony wytwórców fabrycznych. Skargi te nieraz błąkały się w luźnych korespondencyach, słyszeliśmy je również z ust plantatorów miejscowych; obecnie zaś dostały się one także na szpalty prasy ruskiej. Korespondent *Now. Wrem.* zaznacza smutną zależność hodowców. Cukrownie w prowincyach stepowych, jakkolwiek są liczne, jednakże skutkiem wielkich obszarów, częstokroć bardzo odległe od siebie. To jest jedna z przyczyn dowolnego ustanawiania cen przez fabryki. Rolnicy, przyciśnięci potrzebą, nie mogą się wyrzec plantowania, gdyż cukrownie dają zaliczki na uprawę, kopanie i dostawę buraków i otrzymują zwrot tych pożyczek z zyskiem lichwiarskim. W tym celu wprowadzono system przyjmowania produktu berkowcami, których waga dziwnie się powiększa z rokiem każdym; obecnie już dochodzi do 12 pudów, zamiast 10. Nadto, z wagi odchodzi

pewna część na oczyszczenie, odbywa się zaś to w sposób następujący: Zwykle odbiorca rzetelnie sortuje kilka pierwszych pudów i obliczywszy stosunek odpadków do towaru czystego z tej niewielkiej ilości, bierze ją za normę do całych partyj, zawierających po tysiąc pudów. W ten sposób rolnicy tracą po kilkaset rubli na każdym transporcie. Niezależnie od tego większość cukrowni płaci za buraki w stosunku do procentu zawartości w nich cukru. Określeniem w tym względzie zajmuje się technik fabryczny bez żadnej kontroli ze strony plantatorów. Pomimo krzywd i skarg na nie, potrzeba kapitału obrotowego na wiosnę zniewala hodowców do zawierania umów na takich samych warunkach, a jest tylu kandydatów, że cukrownicy mogą wybierać i być panami położenia. Skutkiem takich warunków uprawa buraków nie zyski, lecz straty rolnikom przynosi. „Wyczerpanie gruntu nie pozwala na wprowadzenie udoskonalonego systemu gospodarstwa.“ Takie jest zdanie wielu mieszkańców tamtejszych. Sądzimy, iż raczej zaprzedanie się rolnictwa na usługi przemysłu fabrycznego, w podobny sposób, w jaki się zaprzedają „łapaconi“ robotnicy z gubernij białoruskich, jest przyczyną upadku i zastoju technicznego w produkcyi rolnej. Faktem jest, iż przed rozwojem w tak potężnych, jak dziś, rozmiarach cukrownictwa, gub. podolska i kijowska obfitowały w większe, niż obecnie, bogactwa naturalne, szczególnie w lasy, po których dziś śladu nie zostało, albo rosną liche zagajniki tam, gdzie sterczą kominy fabryczne. Ale utraty tych bogactw i upadku rolnictwa nie trzeba całkowicie przypisywać cukrownictwu. Skorzystało ono raczej z przyjaznych dla siebie warunków i sposobności wysysania skarbów ziemi, spoczywających w rękach nieoględnych. *—p.—*

Ruch przemysłowo-handlowy. W ostatnich czasach na znacznych przestrzeniach państwa od stepów południowych ku granicy północno-zachodniej, ruch przewozowy znacznie się ożywił. Z dniem każdym się zwiększa transport towarów z kolei Południowo-Zachodnich za granicę przez Mławę i Iłowo tudzież z drogi Wiedeńskiej na Terespolską i Petersburską. Z Mławy do Iłowa przeciętnie idzie przeszło 260 wagonów dziennie, napełnionych przeważnie pszenicą i makuchami. Przy gorączce przewozowej przeładunek w Iłowie odbywa się opieszale skutkiem tego, iż kolej Maryenbursko-Mławska nie posiada odpowiedniej liczby wagonów. Na granicy nagromadziło się około 400 naładowanych wagonów drogi Nadwiślańskiej. Koleje Południowo-Zachodnie zdają na Nadwiślańską przeciętnie 150 wagonów dziennie. Z kolei Dąbrowskiej przez Iwandgród przejeżdża dziennie po 130 wag. przeważnie naładowanych węglem i żelazem dla Cesarstwa. Z Wiedeńskiej przechodzi codzień na Terespolską po 120, na Petersburską po 150 wagonów. Jednocześnie ujawnia się ożywienie ruchu w przemyśle fabrycznym. Towarzystwo akcyjne R. Biedermana w Łodzi rozszerza swe zakłady (buduje i urządza tkalnię wyrobów z przędzy melanżowej nową drukarnię bojek); fabryka wyrobów bawełnianych firmy Bary wprowadza fabrykacyę korcików drukowanych. Skutkiem porozumienia się głównych fabryk łódzkich, wzrosły o $^1/_4$ na arszynie ceny wszystkich wyrobów bawełnianych białych, drukowanych, bojek, lam i bukskinów. Zwyżka ta, (stanowiąca 1% w stosunku do cen poprzednich) wynikła skutkiem podrożenia tych samych wyrobów w fabrykach okręgu moskiewskiego, gdzie różnica na niektórych towarach stanowi obecnie 15 do 18%. Zapotrzebowanie węgla kamiennego przez fabryki znacznie się zwiększyło, kopalnie zaś nie mogą odrazu zadośćuczynić zamówieniom. Ceny więc szybko wzrastają i dziś w Łodzi dochodzą już do 95 kop. za pud. Hurtownicy zapowiadają jeszcze większą zwyżkę.

— Komisya w sprawie ustanowienia premiów od ubezpieczenia zboża, oddawanego w zastaw z zaliczeniem bankowem, opracowała szereg następujących wniosków: 1) Towarzystwa przyjmują na ubezpieczenie do wysokości 50% taryfy normalnej zboże przechowywane w budynkach zamkniętych, prywatnych, publicznych i rządowych, znajdujące się na przystaniach na kolejach, sprzedane przez właścicieli ziemskich i włościan za pośrednictwem ziemstw, kolei, agentów itd., służące jako zabezpieczenie pożyczki, wydanej z Banku państwa. 2) Zboże przyjmowane jest do ubezpieczenia po zgłoszeniu się instytucyi, które nabyły je lub wydały zaliczenie, przy czem towarzystwa asekuracyjne przyjmują odpowiedzialność za nie od dnia wysłania zawiadomienia o przyjęciu asekuracyi. 3) Zawiadomienie przesyła się pocztą lub przez agenta, przy ubezpieczeniu zaś na sumę wyżej 10,000 — przez telegraf. 4) Zboże zastawione przyjmuje się do asekuracyi najwyżej o 15% ponad wydane zaliczenie, w każdym razie nie wyżej nad wartość jego według cen na rynku miejscowym; zboże zaś sprzedane — według ceny kupna.

— *Grażdanin* pisze: „W fabrykach, zakładach przemysłowych, na folwarkach i ekonomiach w gub. podolskiej znajduje się wielu robotników prawosławnych, będących pod władzą dyrektorów, ekonomów itp. osób, wyznania nieprawosławnego, skutkiem czego prawosławni nie mogą wypełniać swoich obowiązków religijnych, odwiedzać cerkwi w dni świąteczne itd. Zdarzyć się może, że duchowny prawosławny, w którego okręgu znajdują się fabryki, zakłady przem. itd., nie wie o zamieszkiwaniu w nich robotników prawosławnych. Z tego powodu zalecono wszystkim duchownym, aby żądali (z zachowaniem możliwej ostrożności i innych względów) spisu takich robotników, dla czuwania nad ich stanem moralno-religijnym i wypełnianiem obowiązków pod groźbą odpowiedzialności za niedbalstwo w czuwaniu nad zbawieniem dusz ludności prawosławnej.“

PRASA RUSKA.

Warszawskij Dniewnik pisze w korespondencyi z Petersburga:

„Bankowi polskiemu, zamienionemu od roku 1885 na oddział Banku państwa, przypadło widocznie w udziale odegranie bardzo ważnej roli w dziejach kredytu przemysłowego w Rosyi. Jak wiadomo, ministeryum finansów, chcąc przyjść z pomocą przemysłowi, zajęło się opracowaniem kwestyi kredytu przemysłowego; w tym celu ruscy agenci handlowi za granicą zostali wezwani do zgromadzenia wszelkich danych o istniejącym tam kredycie tego rodzaju. Ale, jak się okazało, na Zachodzie nie ma specyalnie kredytu przemysłowego, nieliczne zaś instytucye, które dawniej zajmowały się operacyami w zakresie tego kredytu, obecnie przerzuciły się do formy ogólnego. Taki brak w obecnym czasie wskazówek co do kredytu przemysłowego zniewala do szukania ich w przeszłości, w historyi Banku polskiego, który przez czas swojego istnienia z kraju tak rolniczego, jak Królestwo Polskie, zdołał zrobić kraj rolniczo-przemysłowy. Bank ten nie obawiał się utrzymać przy niewykupionych przedsiębiorstwach przemysłowych i, zarządzając niemi sposobem gospodarczym, ulepszał je, stawiał na nogi i następnie sprzedawał z zyskiem, czego dowodem są wielkie fabryki w Żyrardowie, stanowiące obecnie własność prywatnego towarzystwa. Takie operacye Banku polskiego, który, rozpocząwszy z 8 milionami kapitału obrotowego, doprowadził go do poważnych rozmiarów, musiały naturalnie zwrócić na siebie uwagę ministeryum finansów, które wzięło Bank polski za wzór przy organizacyi w Rosyi wogóle wielkiego kredytu dla zakładów i fabryk; co się zaś tyczy kredytu średniego, tj. rolniczego, którego cechą jest produkcya na gruntach, położonych po za obrębem miast, utrzyma się nadal dotychczas przyjęta forma pod sola weksle, przyczem właścicielom rolnym pozostawia się prawo używania tego kredytu bądź to na urządzanie nowych, bądź też na ulepszanie istniejących w majątku przedsiębiorstw przemysłowych, nie zaś wyłącznie na potrzeby gospodarsko-rolnicze, jak się to działo dotychczas. Następnie pozostaje jeszcze jeden rodzaj kredytu, tak nazywany rzemieślniczy i drobnego przemysłu lecz przy ogólnem opracowywaniu w ministeryum finansów zasad kredytu przemysłowego, ta forma pozostała w zawieszeniu, do czasu opracowania kwestyi arteli drobnego przemysłu i stowarzyszeń, a sprawa ta już weszła na porządek dzienny. Przechodząc następnie do szczegółów kredytu, zaznaczyć należy, że warunki korzystania z niego prowadzą konieczną drogą do odsłonięcia tajemnic handlowych. Otwierając kredyt, ustosunkowany nie do wartości inwentarzowej przedsiębiorstwa, lecz do wartości interesu będącego w ruchu, rząd, unikając ryzyka, musi być świadomy interesu i dlatego też przedsiębiorstwa, korzystające z kredytu przemysłowego, muszą się poddać specyalnej kontroli. Dla przedsiębiorstw akcyjnych, korzystających z kredytu, obowiązkowem będzie dopuszczenie do składu swojej administracyi członka ze strony rządu; dla przedsiębiorstw, należących do pojedynczych osób i drobniejszych, kontrola będzie się znajdowała w ręku inspektora, mającego przystęp do ksiąg handlowych. Należy dodać, że w ogniskach przemysłowych operacye w zakresie kredytu przemysłowego zamierzono pozostawić prywatnym instytucyom kredytowym, a w miejscowościach, gdzie przemysł jest słabo rozwinięty—instytucyom rządowym“.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W ciągu ostatnich czterech miesięcy (od 13 czerwca) w portach Bremy i Hamburga zatrzymano 114 emigrantów z gub. łomżyńskiej, płockiej, suwalskiej i kowieńskiej. Nie posiadali oni dostatecznego funduszu na dalszą podróż. Z powyższej liczby tylko 28 znalazło zarobek w portach. Reszta — wróciła do kraju.

— Nowa ustawa paszportowa ma określić świadectwa na zamieszkanie dla żydów. Posiadający prawo przekraczania granic swej osiadłości, po przyjeździe do guberniі wewnętrznych państwa, powinni złożyć swoje dokumenty, poczem otrzymują bilet drukowany, który dołącza się do świadectwa zamieszkania. Przepisy te nie stosują się do żydów zaliczonych legalnie do korporacyi mieszczańskich lub rzemieślniczych w guberniach wewnętrznych.

W Radomiu wynaleziono niewyzyskane jeszcze nigdy źródło miłosierdzia publicznego za pośrednictwem zabaw: Kilka pań postanowiło urządzić w karnawale bal dla służących, rekomendowanych przez odpowiedni komitet. Dochód ma być złożony w kasie przemysłowców, jako fundusz na założenie przytułku dla służących, pozbawionych sił do pracy.

— Ziemianie z okolic Skalbmierza zakładają kasę zaliczkowo-wkładową, dla unikania kredytu lichwiarskiego, którego siedliskiem są wioski i małe miasteczka. Zapisy na kapitał zakładowy już zebrano (*Kuryer warsz.*).

— Weterynarze starają się o własne stowarzyszenie i wydawanie organu. Na ten ostatni zamożniejsi złożą pewien fundusz.

— Przy ministeryum spraw wewnętrznych powstanie specyalna komisya dla opracowania zasad wykupu miasteczek, stanowiących własność prywatną w kraju Południowo-Zachodnim.

— Od r. 1894/5 używanie wag dziesiętnych zamiast norymberskich stanie się obowiązkowem dla wszystkich lekarzy i farmaceutów.

Komunikacye. Francuskie towarzystwo bezimienne zwróciło się do ministeryum spraw wewnętrznych z podaniem o koncesyę na urządzenie połączeń telefonicznych pomiędzy większemi miastami w obrębie państwa.

— Według nowych przepisów, depesze podawane na stacyach kolei, mogą być pisane ołówkiem. Nazwy gubernii, powiatów, linii kolejowych i innych miejscowości, oznaczane kilku wyrazami, liczone będą za jeden. Osoby, podające depeszę, będą mogły składać opłatę odrazu za kilka odpowiedzi od różnych osób. Skrócone adresy: nazwy banków, redakcyi i innych instytucyi, za które dotychczas pobierana była roczna opłata 10 rs., zostaną skasowane.

Sprawy kolejowe. Z dniem 27 października wprowadzono na wszystkich kolejach ruskich zimowy rozkład pociągów. Jednocześnie ministeryum komunikacyi oznaczyło następujące normy szybkości biegu: dla pociągów kuryerskich 55 wiorst, dla pośpiesznych 50, osobowo-towarowych 35 i towarowych 30 wiorst na godzinę.

— W tych dniach otwarto odnogę nowosielską kolei Południowo-Zachodnich.

— Kolej Nadwiślańska zaprowadziła na próbę sprzedaż książeczek biletowych pomiędzy stacyami Warszawa i Praga z ustępstwem 30%.

Wystawy i zjazdy. Dn. 29 października otwarto w Warszawie wystawę skór, wyrobów skórzanych i dekoracyjno-tapicerskich, o której pomówimy osobno.

— W Gdańsku otwarto zjazd przemysłowców drzewnych, angielskich i niemieckich, w sprawie taryfy celnej, podatku dziesięciomarkowego od flisaków, napływających tratwami z Królestwa itd.

— W kwietniu r. p. odbędzie się w Petersburgu zjazd przedstawicieli fabryk wełnianych i hodowców owiec. Poruszona tam będzie sprawa otwarcia szkół dla t. zw. boniterów (specyalistów od sortowania wełny).

— Dn. 25 listopada w lokalu warszawskiego Towarzystwa ogrodniczego otwarta będzie wystawa przetworów owocowych i warzywnych. Pierwszy oddział obejmuje 13 konkursów, dotyczących: owoców suszonych, wszelkiego rodzaju jagód, prunelek, powideł, marmolad i chleba owocowego, konfitur, soków, win owocowych (z winogron są wykluczone), jableczników i octu owocowego. Drugi oddział zawiera: wszelkiego rodzaju warzywa suszone i konserwy z warzyw w puszkach.

Zdrowie publiczne. Polecono niezwłocznie otworzyć przy szpitalu praskim oddział dla cholerycznych na pomieszczenie 30 chorych.

— Minister spraw wewnętrznych ogłasza, że cała Persya uważana jest za niebezpieczną z powodu cholery.

— Po objęciu stacyi bakteryologicznej w Warszawie przez dr. Palmirskiego, magistrat, na prośbę d-ra Bujwida, nadal będzie dawał zapomogę tej instytucyi.

Literatura i sztuka. Obrazy artystów warszawskich nie sprzedane na wystawie w Chicago, przeniesione będą na wystawę zimową do San-Francisco.

— Sprzedaż pojedynczych numerów gazety *Syn Otieczestwa* została zabronioną.

— Na drugim wielkim konkursie międzynarodowym w Brukselli, Zygmunt Noskowski otrzymał osiem nagród i odznaczenie. Nadto przyznano cztery nagrody M. Biernackiemu, dyrektorowi Towarzystwa muzycznego w Stanisławowie i Bohdanowi Borkowskiemu wzmiankę zaszczytną za mszę na chór i orkiestrę.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Октября 1893 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.